Nr. 10—12. 30 grudnia 1877.

MIESIĘCZNIK

galicyjskiego towarzystwa ochrony zwierząt.

Żądać swobody i ludzkości tylko dla siebie i swego plemienia, a być tyranem dla reszty stworzeń, to szatańskie samolubstwo. O.

Szanownych członków tow. ochr. zw. uprasza się uprzejmie:

a) Którzy z nich dotąd nie uiścili wkładki za rok 1877, aby to uczynić zechcieli;

b) gdyby który z nich Miesięcznika nadal nie chciał odbierać, o doniesienie tego na karcie korespondencyjnéj;

c) o zażądanie numerów z r. 1877, które nie doszły, jakkolwiek wszystkie wysłano;

d) w wypadku zmiany mieszkania o podanie tegoż, gdyż w skutek niewiadomego, niedokładnie lub wcale nie podanego mieszkania wysyłane numera Miesięcznika nie dochodziły i ginęły;

e) o zażądanie zaraz w pierwszych dwóch tygodniach każdego miesiąca, począwszy od lutego 1878 r., nie odebranego numeru z miesiąca poprzedzającego.

Numer pierwszy Miesięcznika na rok 1878 wyjdzie w styczniu 1878 r. Postarano się, aby na przyszłość każdy numer Miesięcznika zaraz po wydrukowaniu został rozesłany.

Wkładka roczna czyni z dodatkiem 20 c. na opłacenie przesyłki pocztą 1 zlr. 20 c. w. a. Nauczyciele i uczniowie szkół ludowych i średnich otrzymają Miesięcznik za 70 c.

Wszystkie korespondencye uprasza się przesyłać pod adresem - Profesor Dr. Janota. Lwów. Ulica Krasickich 13.

Członkowie towarzystwa.

(Ciąg dalszy. Ob. num. 1, 2, 3, 4 i 5).

WP. Barącz Ludwik, urzędnik gal. Banku kredyt. Lwów.
„ Bobrowska Stefania, nauczycielka. Brzeżany.
„ Bogusz Karol, oficyał w c.k. Dyrekcyi telegr. Lwów.
WP. Bośniak Lazar, c. k. rotmistrz. Lwów.
„ Dołżycki Włodzimierz, urzędnik skarbu brzeżańskiego. Raj.
„ Erben A. Lwów.

WP. Dworzak Marya, guwernantka. Lwów.
„ Finger Gustaw, dyrektor lasów. Zakopane.
JW. Hrabina Fredrowa Zofia. Lwów.
WP. Górka Franciszek, nauczyciel. Cygany.
WKs. Gromadka Bazyli, gr. kat. paroch. Skomorochy.
Zarząd oddziału Tow. pedagog. w Nowym Sączu.
WKs. Hryniewicz Antoni, gr. kat. paroch. Budyłów.
WP. Jahn Emilia. Łowce.
„ Jaworowski Tytus, nauczyciel. Pokrowce.
„ Kossak Michał. Lwów.
WKs. Dr. Kostek Franciszek, kanonik metropol. i profesor uniwers. Lwów.
WP. Kulczycki Teodor, c. k. radca rachunkowy. Lwów.
„ Kutschera Wilhelmina. Lwów.
„ Dr. Librowski Stanisław. Kraków.
„ Majer Ignacy, c. k. inspicyent telegr. Lwów.
„ Malinowski Jan, słuchacz filozofii. Lwów.
„ Michałowska J. Wojniłów.
JW. Hr. Morstin Roman, słuchacz praw. Wiedeń.
WP. Mysłowski Józef. Lwów
„ Nikorowicz Stanisław właściciel dóbr. Lwów.
„ Obmiński Franciszek, c. k. elew mierniczy. Przemyślany.
„ Med. Dr. Omeis Jerzy. Zaleszczyki.
„ Past Antoni, c. k. kapitan. Lwów.
WKs. Pawęcki Alexy, gr. kat. paroch. Żyżnomierz.
„ Pawłowski, prof. religii w wyższéj szkole realnéj. Lwów.
„ Perrelli Agnelli. Lwów.
WP. Poczatek Franciszek, listonosz. Dąbrowa.
„ Rafałowski Seweryn, c. k. nadporucznik ułanów. Lwów.
„ Rojek Zenon Rawicz, c. k. urzędnik pocztowy. Lwów.
JW. Baron Romaszkan Zygmunt. Lwów.
WKs. Roszek Wojciech, proboszcz. Poronin.
WP. Seidler Antoni, właściciel realności. Lwów.
„ Siemiński Ferdynand, kasyer browaru. Rozdół.
„ Dr. Stanecki Tomasz, prof. uniwers. Lwów.
WKs. Sutor Augustyn, dyrygujący katecheta. Kraków.
JW. Hrabina Szeptycka Zofia. Lwów.
WP. Tarnawiecki Jan, urzędnik gal. Banku kredyt. Lwów.
„ Topolnicki Maryan, słuchacz medycyny. Wiedeń.
„ Tustanowski Michał, oficyał w c. k. Dyrekcyi telegr. Lwów.
„ Wróblewska Amalia, dyrektorka szkoły żeńskiéj. Brzeżany.
„ Zimmermann Artur, urzędnik wydziału krajowego. Lwów.
„ Dr. Źródłowski Ferdynand, prof. uniwers. Lwów.
„ Baliński Teofil, cieśla. Kraków.
„ Dr. Boczkowski Juwenal. Kraków.
WKs. Chmielewski Marceli, katech. dyryg. szkoły żeńskiéj. Kraków.
WP. Czasch Adolf, naczelnik wydziału obrach. magistr. Kraków.
„ Dobrucki Edward, naczelnik cła na dworcu kolei K. L. Kraków.
„ Gabriel Józef, słuchacz praw. Kraków.

WP. Georgeon Ludwik, właściciel pensyonatu. Kraków.
" Henisz Paweł. Mogiła.
" Jawornicki Józef, kupiec. Kraków.
" Krasuski Ludwik, ukończony słuchacz praw. Kraków.
" Król Ignacy, profesor gimn. Kraków.
" Krzyżanowski Stanisław, zastępca prof. gimn. Kraków.
" Kutrzeba Jan, introligator. Kraków.
" Dr. Leszko Władysław. Kraków.
" Linquist Henryk, profesor. Kraków.
" Mallik Franciszek, introligator. Kraków.
" Mażek Jan, obywatel. Kraków.
" Miarczyński Ignacy, budowniczy. Kraków.
" Olkuszewska Marya, właścicielka realności. Kraków.
" Pawlikowski Mieczysław, właściciel dóbr. Kraków.
" Riel Edmund, słuchacz praw. Kraków.
" Satalecki Józef, zegarmistrz. Kraków.
" Dr. Schmidt Michał, wiceprezydent miasta. Kraków.
" Siedlecki A., aptek. Kraków.
" Dr. Sokołowski August, profesor gimn. Kraków.
" Świądrowski Mieczysław, obywatel. Kraków.
" Witkowski Józef, obywatel. Podgórze.
" Wójcicki Mateusz, sędzia. Kraków.
" Zaremba Szczęsny, inżynier-budowniczy. Kraków.
" Dr. Zatorski Maksymilian, profesor uniwers. Kraków.
" Zgórek Ludwik, starszy nauczyciel w semin. naucz. męskiém. Kraków.

WP. Dr. Zoll Ferdynand, profesor i b. rektor uniwersytetu. Kraków.
" Boznański Adam, inżynier. Kraków.
" Zarewiczowa Joanna, żona lekarza. Kraków.
" Husarski Franciszek, nadinspektor podatk. Kraków.
" Dobrowolski Alexy, profesor w wyższéj szkole realnéj. Lwów.
" Antoniewicz Jan, koncypient prokuratoryi skarbowéj. Lwów.
" Dr. Biliński Leon, profesor uniwersytetu. Lwów.
" Dr. Balasits August, profesor uniwers. Lwów.
" Dr. Chłędowski Kazimierz, c. k. komisarz namiest. Lwów.
" Dr. Ciesielski Teofil, profesor uniwersytetu. Lwów.
" Dulewski Jan, c. k. komisarz poczty. Lwów.
" Dr. Fried, dyrektor Banku włościańskiego. Lwów.
" Greliński Józef, sekretarz towarzystwa gosp. Lwów.
" Giller Agaton, członek redakcyi Gaz. narod. Lwów.
" Dr. Jędrzejewicz Adam, koncypient w namiestnictwie. Lwów.
" Lipińska Ludwika, właścicielka realności. Lwów.
" Laskowski Kazimierz, koncypient w namiestnictwie. Lwów.
" Łoziński Władysław, redaktor Gazety lwowskiéj. Lwów.
" Dr. Łoziński Bronisław, urzędnik wydziału kraj. Lwów.
" Łoziński Józef, bibliotekarz JEx. hr. Włodzim. Dzieduszyckiego. Lwów.

WP. Morawetz Leopold, c. k. komisarz namiestn. Lwów.

„ Poznański Seweryn, buchhalter w stowarz. stolarzy. Lwów.

„ Pożakowski Hieronim, sekretarz Banku włość. Lwów.

„ Dr. Piętak, prof. uniw. Lwów.

JW. Hr. Potocki Roman. Łańcut.

WP. Dr. Rittner Edward, profesor uniwersytetu. Lwów.

„ Strzelecki Henryk, dyrektor szkoły lasowéj. Lwów.

„ Strzelecki Józef, uczeń szkoły lasowéj. Lwów.

„ Dr. Syrski Szymon, profesor uniwers. Lwów.

WP. Sobieszczański Wiktor, c. k. komisarz namiestn. Lwów.

„ Tyniecki Władysław, profesor w szkole lasowéj. Lwów.

„ Kuryłowicz Stefan, prof. w semin. naucz. męsk. Lwów.

„ Czajkowski Aleksander, nauczyciel. Tuczępy.

„ Fedewicz Maksymilian, nauczyciel. Wyszatyce.

„ Krupa Michał, nauczyciel. Sośnica.

„ Woliński Jan, nauczyciel. Paportno.

Szkoła wydziałowa. Przemyśl.

Prócz wymienionych członków towarzystwa odbierają Miesięcznik:

WP. Daszyński Feliks, uczeń wyższéj szkoły realnéj. Stanisławów.

„ Wierzbowski Jan, uczeń gimn. Stanisławów.

„ Bednarski Józef, uczeń gimn. Kraków.

„ Bellisomi Karol, uczeń gimnazyalny. Kraków.

„ Bojanowski Maciéj, uczeń gimn. Kraków.

„ Chojecki Kazimierz, uczeń gimn. Kraków.

„ Kiernicki Stanisław, uczeń gimn. Kraków.

„ Landy Izak, uczeń gimn. Kraków.

„ Lemberger Ignacy, uczeń gimn. Kraków.

„ Mikucki Julian, uczeń gimn. Kraków.

„ Siedlecki Jan, uczeń gimn. Kraków.

„ Hand Rudolf, uczeń wyższéj szkoły realnéj. Lwów.

„ Hochfeld Henryk, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Gamrat Szczęsny, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Kostkiewicz Władysław, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Menkes Salomon, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Rödlich Jakub, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Rödlich Leopold, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Reiss Alfred, uczeń wyższéj szkoły realn. Lwów.

„ Suchodolski Władysław, uczeń wyższéj szkoły realnéj. Lwów.

„ Scholz Maksymilian, ucz. wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Sternberg Eliasz, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Waniek Henryk, ucz. wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Zach Adolf, uczeń wyższéj szkoły realn. Lwów.

„ Wobr Wincenty, ucz wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Przybyła Franciszek, ucz. wyższéj szk. realn. Lwów.

„ Frey Jakub, uczeń wyższéj szkoły realn. Lwów.

„ Zawałkiewicz Maryan, uczeń wyż. szk. realn. Lwów.

„ Utschik Józef, uczeń wyższéj szk. realn. Lwów.

KOŃ.

(Dokończenie.)

Od konia uprzężnego czyli woźnika przejdźmy teraz do konia jucznego i jezdnego czyli wierzchowca.

Konia jucznego czyli jukowego używano w Polsce do noszenia zapasów i sprzętów wojennych, które pakowano w juki czyli torby skórzane. Było to zwierzę krótkiego a silnego grzbietu. Teraz tylko w krajach górzystych, szczególnie w Alpach, i na stepach i pustyniach zaeuropejskich można spotkać konia jucznego. Zwolna i śmiało kroczy on z ciężarem swoim nieraz wąziutką ścieżką; za nim idzie poganiacz, śpiewając wesoło. Dla takiego konia cztéry cetnary nie są zbyt wielkim ciężarem. Silne te i roztropne zwierzęta nie dostają owsa, lecz wonne siano górskie, o którém dawni Polacy mawiali: „Oj siano, siano! mogliby je księża jeść.“ Te konie służą także podróżnym zwiedzającym góry.

Znany jest zmysł koni szwajcarskich przeczuwania i odgadywania zbliżającéj się burzy. Wówczas koń z własnego popędu ostatnich sił dobywa, aby ujść grożącego niebezpieczeństwa. W okolicy przełęczy Skalety (Scaletta [1]) opowiadają następujący wypadek. Koń juczny, który przez długie lata pełnił służbę na téj drodze, zwierzę najpotulniejsze i najspokojniejsze w świecie, opieraniem się ostrzegał o zbliżającém się obrywaniu i usuwaniu się śnieżnic. Za to téż jucznicy konia tego wysoko cenili, a w czasie niepewnéj pogody spuszczali się zupełnie na niego. Raz miał on w zimie przewieść podróżnych przez namienioną przełęcz. Niedaleko wierzchu w żaden sposób nie chciał pójść daléj. Nierozsądni podróżni i ulegający im woźnica zmusili wreszcie biedne zwierzę, iż daléj ruszyło. Zarżawszy głośno na znak niechęci, zwierzę to przezorniejsze od ludzi z natężeniem wszystkich sił i z rozpaczliwym pośpiechem usiłowało przewidzianego ujść niebezpieczeństwa. Lecz daremne były jego wysilenia; śnieżnica zasypała biednego a zmyślnego konia wraz z tymi, co jego i siebie o śmierć przyprawili.

Jak koń górski, będąc nadzwyczaj ostrożnym w chodzie, postępuje zwolna, tak znowu koń koczowników lotem strzały przebiega płaszczyzny.

Historya uczy nas, że wiele ludów koczujących prawie nigdy nie rozstaje się z koniem. Hunowie radzili na koniu, spali, kup-

---

[1] Przez nie przechodzi się z doliny Davos do doliny Enu. — Wyraz „przełęcz“, ludowy i w Tatrach powszechnie używany, odpowiada niemieckiemu *Pass*.

czyli, jedli i pili na nim. Tatarzy jakby całość z koniem stanowili. Do dziś dnia wychowanie młodych Tataro-Mongołów polega głównie na ćwiczeniu w jeździe i na wdrażaniu do należytego użycia łuku i strzelby. Skoro tylko chłopiec chodzić się nauczy, sadza go ojciec za sobą na koniu. Ojciec pędzi w cwał, a dziecko trzyma się oburącz jego sukni. Tak przywyka ono od niemowlęctwa do ruchów konia, usposabia pierś do gwałtownego pędu powietrza i wkrótce tak do konia nawyka, że się z nim prawie w jednę zlewa istotę. Dzielnymi jeźdźcami są pasterze w pustach węgierskich i gauchowie w sawanach (stepach) amerykańskich.

Do początku 16 wieku nie znano w Polsce innego sposobu podróżowania, jak konno. Jeszcze za Stanisława Augusta obywatele odwiedzali się konno. Dlatego był zwyczaj stawiania na dziedzińcu słupa, u którego znajdywały się trzy kółka do przywięzywania koni osób przyjezdnych. Dólne kółko było żelazne dla chłopów i mieszczan; drugie nad niém mosiężne dla szlachty, a najwyższe srebrne lub posrebrzane dla osób najznakomitszych w narodzie [1]. Gdzie były panny na wydaniu, znajdowało się jeszcze czwarte kółko u okienicy. Gdy konia zalotnika jakiego z rozkazu gospodarza odwiązano od słupa a przywiązano do kółka u okienicy, było to znakiem, że właściciel tak uczczonego konia jest mile widziany przez pannę i jéj rodziców. Skromność płci niewieściéj w Polsce, wynikająca z bogobojnego jéj wychowania, była początkiem tego zwyczaju.

Ruchy konia rozróżniano na chodowe, skokowe i jednochodne. Do ruchów chodowych liczono: a) Stęp czyli chód noga za nogą dla dania koniowi chwilowego wypoczynku; b) trucht, dyrd, dyrdanie, mały trzęsący kłusik, jazdę niesporą a trzęską; c) kłus, stały ruch podróżny, milę na godzinę, ale uciążliwy dla jeźdźca; d) ryść, kłus najraźniejszy, którym milę w 20 minutach robiono.

Ruchy susowe rozróżniano na skok czyli półbieg, cwał i przecwał. „Wskok naprzód, potém cwałem, a przecwałem nareszcie natarła chorągiew królewicza Aleksandra na Turków pod Wiedniem, nie oparłszy się aż o namiot wielkiego Wezyra.“

Ruchy jednochodne, wykonywane przez spółczesne użycie jednostronnéj pary nóg, są: a) Szłap, niby stęp przewalający się z jednéj strony na drugą. Szłapak był ulubionym koniem gospoda-

---

[1] Tak spotykamy się wszędzie z pychą, która też z siostrzyczkami swemi, zbytkiem, przekupstwem i nieuctwem kraj zgubiła. Przyp. red.

rzy wiejskich, którzy wygodnie i rączo pola swe objeżdżać chcieli b) Krocz, niby kłus szłapiowy. Kroczka dobierał zwykle stary, krótkiego już tchu człowiek, który bez wielkiego trudu chciał do miasteczka podbieżeć i wcześnie z niego do domu wrócić. c) Jednochód czyli inochód, najraźniejszy z ruchów jednochodowych, który nieraz bardziéj chyżym bywał niż przecwał. Konia z takim ruchem w Polsce najwyżéj ceniono, gdyż takiego chodu było go trzeba zazwyczaj z niemałym trudem dopiero wyuczyć.

Jeżdżenie konno doprowadzono po dziś dzień do wysokiéj doskonałości. W cyrkach jest ono sztuką chlebodajną. Zręczni ujeżdżacze, korzystając z wrodzonéj roztropności i pojętności konia, uczą go rozmaitych sztuk, które publiczność podziwia.

W Polsce sztukę rozwijania zmyślności konia posuwano nieraz do tego stopnia, że bywały konie do usługi nietylko trzeźwym, ale i podpiłym wprawne. Znajomą z opowiadania Rzączyńskiego jest owa klacz szlachcica lubelskiego, która wprawioną była do noszenia listów i innych rzeczy o trzy mile do Lublina, która się w drodze nikomu nie dawała chwycić i śpiesznie do domu wracała. Mosty wielkie w wejewództwie bełzkiém słynęły z tego, że mieszczanie tak umieli konie swe układać, iż ani uzdeczek ani jakiegobądź okiełznania nie używali. Uczono konia rozciągać się lub też kłaść się na ziemi w chwili, gdy go dosiadano. Uczono go klękać i gębą ziemi dotykać na znak składanego hołdu osobie, przed którą jeździec w taki sposób konia zażywał. Akademicy paryscy zachwycali się nad ujeżdżeniem jednego z koni w orszaku posłów polskich przybyłych po Maryą Ludwikę, na którym siedział Choiński. Zmuszał on konia do przyklękania tyle razy, ile razy mu się wydawało, że się już król zbliża na spotkanie orszaku. Wprawiano konie w nieruchome na jeźdźca oczekiwanie, uczono ich drapać się na strome urwiska, wychodzić na schody i schodzić po nich bez szwanku. Figlarz jeden nauczył konia tańczyć, siadać na tyłku i trzymać w gębie miednicę.

Obdarzony zmyślnością, pamięcią i dobrodusznością, uczy się koń z łatwością, ale wcale niepotrzebnie, jeszcze wiele innych sztuk, rozwięzuje zagadki, odpowiada na pytania poruszeniem głowy na tak lub nie, uderzeniem nogi oznacza, która godzina na zegarku, i t. p.; spogląda na poruszenia nóg i rąk swego nauczyciela, rozumie jego słowa i machnięcie batogiem; z czasem bardzo wiele słów rozumie, więc posiada niejako słowniczek w swéj duszy. Na rozkaz udaje to chorego, to głuptowatego z rozkraczonemi nogami i obwisłą głową, zatacza się smutny, upada na ziemię jakby nieżywy,

pozwalając usiąść na sobie, ciągnąć się za ogon, włożyć nawet palec do nader łaskotliwego ucha i t. d.; ale skoro usłyszy, że go każą uprzątnąć hyclowi, zrywa się natychmiast na równe nogi i znowu jest wesół. Czy mu się podoba powtarzanie takich żartów, o tém wątpić wypada, bo to wbrew jego naturze, on lubi namiętnie biegać i skakać. A jak długo musi się on ćwiczyć, a raczéj męczyć, nim się nauczy skakać przez dwie obręcze zaklejone papierem, przedstawiające niby mur? Taki koń lubi sobie niekiedy pofiglować, co się zdarzyło w Wiedniu w cyrku Renza. Młody konik polski, któremu się sprzykrzyło pokazywać sztuki, skoczył ponad głowy widzów i zaczął sobie hasać po dworze. Nabroiwszy się do woli, dał się ująć i był znowu łagodny jak owieczka.

Kto konia czego rozsądnego chce nauczyć, musi po ludzku z nim się obchodzić, t. j. nie biciem, groźbą ani głodem, ale dobrém słowem tak samo, jak postępuje dobry i rozsądny człowiek z ludźmi. Co działa na człowieka, działa także i na konia. Jeżeli nie chce się dać podkuć, nie pozwala sobie nogi podnieść, to trzeba go głaskać, pogłaskać i nogę, przemawiając doń uprzejmie, ale z wyrzutami, że jest nieposłuszny i niecierpliwy; podać mu owsa, a gdy je, to probuj nogę podnieść; gdy nie chce pozwolić, odbierz mu owies; gdy nań spogląda, przysuń mu go a nogę podnieś i t. d. Tym sposobem można sobie zjednać wszystkie konie, z któremi nie obchodzono się pierwéj srogo. Konie jak dzieci zdolne z natury do złego i dobrego.

Przez długi ciąg licznych pokoleń konie polskie roztropnie prowadzone przez obcowanie z człowiekiem rozwinęły swą pojętność i wyrobiły w sobie bardzo dowcip, co je od koni innych krajów odróżniało. Nie żałował nigdy ten, kto na polskim siedząc koniu, znalazł się w niepewności co do kierunku drogi. Wtedy puścił wodze wierzchowcowi i poruczył się całkowicie jego zmyślności, zostawiając mu wybór drogi, po któréj miał daléj postępować. Tak było u nas dawniéj; teraz niestety inaczéj, a Bóg da, że odżyjemy i nie damy się wyprzedzić w dobrém innym narodom[1].

„Czy ci dał Jan dosyć jeść?“ zapytał raz Babtysta Loisset swego konia przed pewną gospodą. Ku wielkiemu zdziwieniu obecnych i parobka potrząsało zwierzę głową długo i podejrzliwie, aż zawstydzony pachołek zawołał: „Eh! o wszystkiém naraz

---

[1] Już nas niektóre bardzo wyprzedziły, a czy ich dognamy, pytanie. Przyp. red.

nie można pamiętać; miałem mu jeszcze dać miarkę.“ Zapewne niejeden koń okazałby się tak roztropnym, gdyby tylko właściciel starał się poznać jego wrodzone przymioty, a uczciwém postępowaniem pozyskać jego przywiązanie. Następujące zdarzenie niechaj posłuży za dowód powyższego twierdzenia. Pewien ekonom jechał w nocy pomimo ciemności dosyć prędko przez las, znając drogę doskonale. Wtém uderza o konar, który wystawał nad drogą, tak silnie, że spadł z konia i leżał bez przytomności między drzewami. Koń wrócił się cwałem do domu. Ponieważ drzwi były już zamknięte, więc pukał w nie tylnemi nogami i rżał dopóty, dopóki nie otworzono. Gdy zobaczono konia bez jeźdźca, domyślono się, że go jakieś nieszczęście spotkało. Jeden z parobków wziąwszy latarnię, dosiadł tego samego konia i pocwałował tą samą drogą dla odszukania pana. Gdy koń przybiegł na miejsce, gdzie pan jego był spadł, stanął i pomimo napędzania nie chciał postąpić naprzód ani krokiem. Wtedy zsiadłszy parobek, zaczął szukać i znalazł ekonoma, który właśnie przychodził do zmysłów, a orzeźwiwszy się, dosiadł wiernego rumaka i pojechał daléj.

Inne zdarzenie opowiada chłop szwedzki. Pojechał on raz do miasta, gdzie go tak uraczono, że z powrotem nie mógł usiedzieć na siodle. Koń stosował swój krok ile możności do stanu jeźdźca. Gdy wszedł na osypisty wzgórek, nie mógł śmiało kroczyć, a chłop spadłszy, uwisł jedną nogą w strzemieniu. Koń stanął natychmiast i robił rozmaite poruszenia, aby go uwolnić z opłakanego położenia, ale mu się to nie udawało. Popatrzywszy przez chwilę z litością na pana swego, bo wisiał nadół głową, przegiął się, uchwycił pyskiem kapelusz i zdjął mu go z głowy, potém chwycił go zębami za kołnierz i podniósł do góry, że mógł nogę wyciągnąć z strzemienia i stanąć na ziemi. Koń ten nie był do tego układany, a postąpił sobie w tym wypadku tak rozsądnie jak człowiek.

Koń ma wyborny zmysł dostrzegania i pamięć. Woźnica może się spuścić na konia, bo on nawet w ciemności pójdzie dobrą drogą; zna karczmy, gdzie popasał; tam téż sam zajeżdża. Zaraz pozna, gdy go jaki obcy człowiek dosiędzie. Rozumie mowę stajennego i jest mu posłuszny. Do studni albo do zaprzęgu idzie jak pies za człowiekiem, który się nim zajmuje. Nowemu parobkowi lub innemu koniowi przypatruje się z uwagą. Każdy nowy przedmiot budzi w nim ciekawość; więc go ogląda i obwąchuje. Również dobrze pamięta on czas i jego ustępy, uczy

się chodzić i biegać do taktu, wie, kiedy rano, południe lub wieczór. Nie brak mu także zmysłu muzykalnego, co właśnie znowu na koniach cyrkowych widzieć można. O pamięci konia można się przekonać z bardzo wielu wypadków. Jeżeli on kiedy wielki ciężar musiał ciągnąć pod stromą górę i tylko nadzwyczajném wysileniem wyszedł na wierzchołek, to często się zdarza, że nawet przy próżnym wozie okazuje zaniepokojenie, skoro mu wypadnie iść na tę samę górę. Bystrość pamięci konia okazuje się także w przypadkach, które wywołują miłe dla niego wspomnienie. Jeżeli kiedy dostał jaki przysmaczek albo doznał innéj przyjemności, wtedy przyszedłszy na to miejsce, rżeniem radośném okazuje, że o tém nie zapomniał. Wiadomém jest, że przebiegły koniuszy Daryusa Hystaspa skorzystał z téj własności konia, aby dopomódz swemu panu do dostąpienia godności królewskiéj w Persyi. Stało się to przed 2400 laty. Po zamordowaniu Smerdysa samozwańca ten z panów perskich miał zostać królem, którego koń podczas wspólnéj jazdy ubiegających się o koronę zarży najpierwéj. Daryusa koniuszy wyprowadził dniem przedtém wierzchowca swego pana na miejsce, przez które przejeżdżać miano, i dał mu się najeść wybornego obroku. Gdy na drugi dzień wyjazd nastąpił, zarżał koń radośnie, skoro przybył na miejsce wczorajszéj uczty. Towarzysze Daryusa zsiedli, aby mu oddać hołd jako panu i królowi swemu.

I w naszych czasach można coś podobnego zobaczyć. Dyrektor Marquart[1] opowiada, że zna woźnicę, który po śniadaniu zwykł dawać koniom swoim resztki chleba. Gdy przed południem po złożeniu drzewa z wozu wychodzi z budki przekupki, gdzie codziennie chléb sobie kupuje, już zdaleka rżą radośnie jego zwierzęta. Ten woźnica z większą pewnością niż Daryus może już naprzód liczyć na rżenie koni swoich, ale mimo to nie ma nadziei zostania szachem perskim.

Kreiwitz, właściciel Massowburgu w Brandenburgii, kupił w r. 1857 parę sześciomiesięcznych gniadych klaczek. W pierwszym roku nie wypuszczał ich na pastwisko, lecz codziennie bez względu na powietrze wolno im było pobiegać przez pewien czas po obszernym dziedzińcu wysadzonym wysokiemi lipami. Po obu stronach podwórza znajdowały się murowane budki dla psów, otoczone cienistemi drzewami. Obie te budki były mieszkaniem dwóch pięknych, silnych psów, które pilnowały podwórza. Z początku, gdy dla żrebiąt jeszcze wszystko było obcem, trwożliwie z wytrzeszczo-

[1] Hund und Pferd. Dresden. 1875.

nemi oczyma i rozwartemi nozdrzami obchodziły zwolna dziedziniec dla zaznajomienia się z otoczeniem swojém. Przy najmniejszym szeleście umykały na bok lub chroniły się do stajni. Atoli już po kilku dniach oswoiły się dostatecznie z miejscem przechadzek swoich, z psami i drzewami. Naprzód zabrały się do lip. Zapach i gęste liście drzew przynęciły je do siebie; więc téż, o ile długiemi szyjami mogły sięgać, zrywały liście i gałązki, tak że się zdawało, jakoby drzewa nożycami ogrodniczemi były obcięte. Psy z początku warczeniem objawiały niezadowolenie swoje; lecz nie mając powodu zazdrościć źrebiętom tego pożywienia, uspokoiły się nakoniec i pozwoliły im ogryzać drzewa. Objadłszy wszystkie liście, których dostać mogły, poczęły się oglądać za czém inném i dobrały się do wiaderek, w których miewały psy swe pożywienie. Jednemu z nich zdawał się żart za daleko posuniętym; bronił więc swéj własności zaciekłém ujadaniem. Przestraszone źrebięta oddaliły się szybko, ale po niejakim czasie znowu wracały do wiaderka. Jednego dnia pies urwał łańcuch, skoczył do źrebięcia i ukąsił je w nos. Właściciel obawiając się jakiego nieszczęścia, kazał dopiero wtedy wypuszczać źrebięta, gdy psy zjedzą swe pożywienie. Wszakże przezorność ta okazała się bezskuteczną, albowiem skoro tylko wypuszczono źrebięta, zaraz dążyły do wiaderka, ukąszone źrebię atoli nie szło przodem od psa, lecz wierzgając tylnemi nogami, zatrzymywało go w budzie dopóty, dopóki drugie nie wylizało reszty pożywienia z wiaderka, poczém udawały się do drugiego psa. Ten był łagodniejszym; więc najspokojniéj ustępował źrebięciu części swéj żywności, którą wreszcie spólnie zjadano. Ośmioletni synek p. Kreiwitza, skoro tylko rozpoczęła się walka poprzednio opisana, przybywał z batem. Pies chował się wtedy do budy, a źrebięta umykały. Lecz źrebię ukąszone w nos zapamiętało sobie młodego bohatera z batem, bo skoro on bez bata, tylko z książkami pod pachą wracał ze szkoły, położywszy uszy po sobie, uderzało na niego. Czasem udało się źrebięciu napaść go w ogrodzie lub stajni i tam przytrzymało go dopóty, dopóki krzykiem nie zwrócił uwagi robotników, którzy przychodzili uwolnić go. Dla czworga młodszego rodzeństwa owego batożnika okazywały się źrebięta przyjaznemi i łagodnemi. Następnéj wiosny zaprowadzono je do poblizkiego folwarku. Jednego dnia odwiedził je p. Kr. z dziećmi. Natychmiast wznowiła się dawna walka; źrobki, zresztą bardzo potulne zwierzęta, uderzyły w zatrważający sposób na chłopca najstarszego, a że nie miał przy sobie ani bata ani kija, musiał uciekać. Źrebięta patrzały z podniesionemi głowami za uciekającym

wrogiem, nakoniec zadowolone zwycięztwem, poskubując trawę, wróciły do reszty rodziny. Gdy po dłuższym pobycie na folwarku wróciły do stajni, szukały znowu wiaderek psich i jak przedtém wierzganiem zatrzymywały psy w budzie. A nawet gdy już chodziły w zaprzęgu, pozostało im to nawyknienie[1].

Konie okazują wierność i przywiązanie do uczciwego chlebodawcy. We wsi M. ukradziono konia gospodarzowi, który pomimo zabiegów nie zdołał go wynaleść. Po roku przejeżdżał przez tę wieś pewien pan. Gdy przybył ku domowi, gdzie konia ukradziono, koń ani krokiem naprzód postąpić nie chciał. Bito go i podprowadzano, ale wszelkie usiłowania okazały się bezskutecznemi, koń rozgniewany kąsał i kopał na wszystkie strony. Zbiegło się mnóstwo ludzi; przybył także gospodarz, któremu przed rokiem konia skradziono, i poznał go natychmiast. Podróżny wymienił nazwisko człowieka, od którego był kupił konia, ten znów powiedział, od kogo był go nabył, i tak daléj, aż odkryto złodzieja.

W czasie ostatniéj wojny francuskiéj dostał się do niewoli w bitwie pod La Bourget pewien niemiecki kawalerzysta, którego umieszczono wraz z koniem na noc w pewnéj wsi. Strzegący go Francuzi siedzieli przy kominku, jedząc i pijąc, a on smutny myślał nad swém położeniem, siedząc przy oknie, którego ramy były częściowo papierem zalepione. Z zadumy zbudziło go rżenie jakby znanego konia. Przez okno nie mógł go zobaczyć, bo noc była ciemna. Zrobił otworek w szybie papierowéj, przyłożył ostrożnie do niéj usta i wymówił pocichu kilka razy nazwisko konia „Liese.“ Radośne rżenie było odpowiedzią. Nagle zerwała się znurzona straż od kominka, bo nastąpiło gwałtowne uderzenie w okno, które wypadło na ulicę. Równocześnie wyskoczył jeniec oknem i dosiadł konia, który się był urwał i pana swego odszukał. Jak wicher pomknęło z nim poczciwe zwierzę, a chociaż kule straży za nimi gwizdały, przybyli jednak szczęśliwie do czat niemieckich[2].

Marquart opowiada następujące zdarzenie[3]. Jeden z jego znajomych, właściciel posiadłości ziemskiéj, jechał raz konno polem. Mogąc spuścić się zupełnie na konia swego a mając głowę nabitą rozmaitemi myślami, nie zważał ani na konia, ani na to, co go otaczało. Wtém zrywa się nagle zpod nóg konia stado kuropatw. Koń przelękniony tak nagle podrzuca głowę wtył, iż nachylonego

---

1 Przyrodnik. Lwów. 1873. 174. — 2 The animal World. — 3 Hund und Pferd. Dresden. 1875. Miesięcznik. 1876. 118.

naprzód pana swego tak silnie uderzył w głowę, że ten bez przytomności spadł. Koń widząc przed sobą leżącego bezprzytomnego pana swego, zapomina o sobie i o kuropatwach i stoi jak wryty w miejscu, przerażony tém, co się stało. Kilku wieśniaków, którzy to widzieli zdaleka, przybywszy na pomoc, wkrótce omdlałego przywiedli do przytomności, który odzyskawszy siły, dosiadł znowu konia. Wierne zwierzę było tém widocznie uradowane i z troskliwą przezornością stąpając ostrożnie, zaniosło go do domu.

Koń kocha swoje miejsce rodzinne, gdzie się wychował i doznawał pieczy starannéj. Stara legienda polska prawi o przybłąkaniu się stada do Śreniawity Przybysława, zamieszkałego w blizkości Proszowic na samotnéj górze, którą odtąd Koniuszą Górą przezwano. Stado to przywiódł Przybysławowi ogier, który sprzedany do Węgier, zatęsknił za miejscem rodzinném i po kilku leciech z licznym orszakiem klaczy i źrebiąt wrócił do swego pana.

W Ameryce niedaleko miejsca, gdzie rzeka Niagara wypływa z jeziora Erie, leży po stronie kanadyjskiéj piękna wieś Waterloo, na przeciwnym brzegu, już w Stanach zjednoczonych, wielka wieś Blackrock, odległa o dwie mile od miasta Buffalo Włościanin z Blackrock sprzedał pięknego, choć już nie młodego siwka do wsi kanadyjskiéj. Raz jechał parobek do wody na gniadym, a siwka jako zwierzę bardzo łagodnego usposobienia puścił wolno, aby sam za nim postępował. Gdy koń wyszedł za dom, skąd mógł ujrzeć miejsce rodzinne, wpatrzył się w brzeg przeciwny, potém zeszedł ku rzece, stanął i znowu spoglądał uważnie na drugą stronę; wszedł do wody, napił się trochę i nieruchomie wlepił wzrok w jakiś przedmiot na brzegu przeciwnym, a nareszcie puścił się bez namysłu na głębinę. Strumień płynie w tém miejscu z nadzwyczajną chyżością, bo sześć mil na godzinę, a jak wiadomo, jest tam przeszło 700 kroków szeroki. Z wielkiém natężeniem zwierzę płynęło, a woda daleko je uniosła, aż nareszcie udało mu się dotrzeć szczęśliwie do przeciwnego brzegu. Tu stanąwszy, otrząsł się z wody i wkrótce dostał się do miejsca rodzinnego. Zdziwiony gospodarz zobaczył go w stajni, a te niespodziewane odwiedziny tak miłe sprawiły na nim wrażenie, że postanowił nie odsyłać go do Kanady, jeżeli jeszcze raz powróci. Na drugi dzień odesłał go, lecz koń powtórnie uciekł i tą samą drogą przypłynął. Gospodarz dotrzymał słowa, nie odesłał go więcéj i pielęgnował troskliwie.

Prócz widowisk cyrkowych, które szczególnie bawią ludność miejską, są także w zwyczaju u niektórych ludów zabawy

konne wiejskie, przy których występują konie nieuczone. W Danii odbywa się na wiosnę lub w lecie po wsiach walka z maniakami. Robią lalkę czyli maniaka ze słomy, ubierają go i na kołku w ziemię wbitym przytwierdzają. Młodzież uzbrojona w szable lub laski dosiada koni z zawiązanemi oczyma. Na dany znak wyjeżdża jeden z szeregu i stara się w pędzie trafić maniaka. Potém próbuje drugi, trzeci i tak daléj jeden za drugim. Komu się uda trafić i wywrócić maniaka, ten jako zwyciężca otrzymuje nagrodę. Maniak ma oznaczać zimę, która latu ustąpić musi. Przed zabawą młodzież zwykle gromadzi się w lesie, gdzie wybiera zpomiędzy siebie króla i królową jako przedstawicieli pogańskiego boga wiosny i jego żony, a potém z muzyką powracają wszyscy do wsi i zaczynają gonitwy.

Między ludem szlązkim przetrwał aż do naszych czasów zwyczaj, którego pierwotnym śladem zdają się być wyścigi współubiegających się Leszków o koronę polską, pokryte zasłoną bajecznych tradycyj. W wielu wsiach polskich, np. w Lastkowicach niedaleko Wrocławia istnieje zwyczaj wyścigów w pierwszy dzień Zielonych świątek. Parobcy, którzy konie pasą, wyjeżdżają ze świtem na gonitwy. Celem bywa słup na górze postawiony, a początkiem jeziorko Próchnik. Kto pierwszy stanie u mety, królem, kto ostatni, rochwistem zostaje. Młodzież wraca do wioski, mając na czele króla, któremu rochwist służy za błazna. Wiozą go na dwukonnym umajonym wózku do każdéj gospody we wsi i proszą o mały zasiłek na wieczorną ucztę. Rochwist tysiączne wyprawia figle, aby rozśmieszyć króla, towarzyszów i gospodarza i w ten sposób datek wydrwiwa. Podobne gonitwy mają miejsce i u innych Słowian, a u Łużyczan pochodzą jeszcze z czasów pogańskich. W innych dzielnicach Polski był dawniéj zwyczaj po dworach szlacheckich, że młodzież z powodu uroczystości, czy to familijnéj, czy narodowéj, zabawiała się ścinaniem głów maniakom i nadziewaniem pierścienia na szablę. Który jeździec w cwale najwięcéj głów naścinał maniakom przebranym za Tatarów lub Turków, ten otrzymywał nagrodę. Podobnież i przy zabawie w pierścień tego nagroda nie minęła, kto w przecwale nadział na szablę pierścień, który był przywiązany do poprzecznéj belki na słupie.

Koń jest bojaźliwy i w tym względzie równa się człowiekowi. Lęka się niezwyczajnego tonu, trzepocącéj się chorągiewki i t. p. Starannie ogląda ziemię kamienistą, wstępuje ostrożnie do potoka lub rzeki. Pewien koń, który skoczył przypadkiem do dołu wapna, pozwolił się chętnie powiązać, jakby chciał umożliwić ra-

tunek. Błyskawicy boi się koń nadzwyczajnie. W czasie burzy poci się ze strachu. Przestraszonego konia inny koń łatwo powtrzymać może; ale zdarza się najczęściéj, że obadwa pędzą jakby szalone na złamanie karku, przejmowane coraz większą trwogą.

Koń nietylko kocha swego chlebodawcę i miejsce rodzinne, posiada pamięć czasu, lecz przyzwyczaja się także do pewnych czynności. Widzimy to na koniach wojskowych, które i w późnéj starości, nieraz przy lichym wózku żydowskim, zrywają się na odgłos trąbki żołnierskiéj do pewnych ruchów, zapadłe oczy nabierają ognia i biedny inwalid gotów stanąć w szeregu, jak okazuje następujące zdarzenie. Za Księztwa warszawskiego sprzedano konia, który z powodu starości i wad fizycznych nie był już w wojsku użyteczny. Poczciwe zwierzę przechodziło przez różne ręce, aż nareszcie stało się własnością pewnego arendarza. Żyd pojechał na nim za interesami do Warszawy. Na błoniach pod Warszawą ułani odbywali ćwiczenia, gdy pobliską dróżyną wlókł się ku miastu żydek na wynędzniałéj szkapinie. Wtém zabrzmiała trąbka ułańska; stary inwalid zadrżał wskróś, wyprostował się, oko mu ogniem błysnęło i cwałem puścił się ku wojsku. Żyd w największym strachu krzyczał w niebogłosy. Dawny wierzchowiec wojskowy głuchy na krzyki i upór swego pana dobiegł do wojska, zarżał radośnie i stanął w szeregu. Dowiedziawszy się pułkownik o przeszłości konia, ku wielkiéj uciesze ułanów nabył go od żyda, aby staremu towarzyszowi broni zapewnić chléb łaskawy.

Sławny nasz bohater Tadeusz Kościuszko przeżył ostatnie dni swoje w Szwajcaryi. Wiadomo, jak chętnie wspierał biednych. Jeżdżąc na koniu, rozdawał żebrakom jałmużnę, jeżeli ich spotkał przy drodze. A koń, wierny sługa jego, tak się był do tego przyzwyczaił, że sam stawał przed każdym żebrakiem, którego na drodze zobaczył. Między innymi dostawała od niego pewna rodzina wsparcie miesięczne w dniu oznaczonym. Jednego razu wstrzymany słabością nie mógł jéj jałmużny wręczyć osobiście, a wiedząc, że biedna rodzina czekała go na pewno, posłał jéj wsparcie przez syna swego przyjaciela Zeltnera, któremu dał nawet konia swego, żeby tylko jak najprędzéj tam się dostał. Zeltner wsiadł na konia dobroczynnego bohatera i pojechał, aby się uiścić z danego sobie polecenia. Jakoż sprawił wszystko należycie, ale późno powrócił. Skoro zobaczył Kościuszkę, pierwsze jego słowa były: „Panie jenerale, na tego konia już w życiu mojém nie wsiądę, jeżeli mi zarazem i sakiewki swojéj nie dasz.“ „A to czemu?“ zapytał Ko-

ściuszko zdziwiony. „Ile razy spotkałem jakiego żebraka," odpowiedział młodzieniec, „który kapelusz zdjął i o jałmużnę prosił, zawsze koń stanął i nie ruszył się z miejsca, dopókim ubogiemu nie dał jałmużny. Na nieszczęście miałem przy sobie tylko kilka groszy; gdy te wydałem, musiałem ze wstydem udawać, jakobym ubogiemu coś do kapelusza wrzucał, aby tylko konia zaspokoić[1]."

W Szwecyi jest odwieczny zwyczaj, że do koronacyi króla umyślnie konia wychowują. Przeznaczony dla Gustawa IV odszczególniał się pięknością. Codziennie wyjeżdżał z nim koniuszy, który zwykle wstępował do domu szewca, gdzie szewcowa częstowała to piękne zwierzę chlebem i solą. Koń tak przyzwyczaił się do téj uprzejméj gościnności, że nie chciał nigdy bez poczesnego mijać domu szewca. Tak samo zaczął kaprysić w dniu koronacyjnym, gdy król z koroną na głowie, z jabłkiem i berłem w ręku przejeżdżał ulicami Stokholmu. Król nie znał zwyczaju konia; więc jako dzielny jeździec chciał go zmusić do chodu ostrogami, lecz wierzchowiec stanął dęba, a korona i berło stoczyły się na ziemię. Wypadek ten uważano za przepowiednię nieszczęścia, które też późniéj tego króla spotkało[2].

Koń jest tak rozsądny, że niekiedy b i e r z e s i ę n a w y b i e g i, byle się uwolnić od niemiłego obowiązku. Pater, jenerał w służbie kompanii wschodnio-indyjskiéj, był człowiekiem otyłym. Stojąc z pułkiem swoim w Madrasie, kupił sobie silnego wierzchowca, który jednak kładł się na ziemię, ile razy zobaczył, że jenerał chce go dosiąść. Rozmaitemi sposobami chciano konia oduczyć tego wybiegu, ale na próżno; śmiano się z otyłości jenerała, który potém sprzedał upartego wierzchowca młodemu oficerowi przeznaczonemu do innego garnizonu. Po dwóch latach zwiedzał Pater pułki pograniczne. Podróż odbywał zwyczajem indyjskim w lektyce. Nazajutrz po przybyciu do pewnego miejsca miał odbyć przegląd wojska; więc zaczęto szukać dla niego wierzchowca, bo swego zostawił w Madrasie; ale trudno było znaleść konia pod tak otyłego człowieka. Nareszcie jeden z oficerów odstąpił mu swego konia, którego przed front wyprowadzono. Jenerał wyszedł z namiotu, aby dosiąść rumaka; lecz skoro koń go zobaczył, wyciągnął się natychmiast na ziemi i ani kary, ani prośby nie zmusiły go do wstania. Był to dawny koń jenerała, który jednak teraźniejszemu panu nigdy takiego psikusa nie spłatał. Jenerał, człowiek nadzwyczaj wesoły,

---

[1] Według innego opowiadania miało się to stać przy przesłaniu kilku butelek wina znajomemu księdzu, co atoli rzeczy saméj nie zmienia. Przyp. red. —
[2] Musiał ustąpić 1809.

zaczął się śmiać serdecznie z tego wypadku, w czém mu całe wojsko wtórowało.

Koń wyścigowy. Koń z natury lubi biegać, a wyścigi są dla niego uciechą. Jego namiętność do wyścigów w połączeniu z próżnością i dumą wprawiają w czasie karnawału na rzymskim Corso widzów w zadziwienie. W tych głośnych na świat wyścigach konie biegną same swobodnie bez jeźdźca. W chwili rozpoczęcia widowiska tłum ludu staje po obu stronach ulicy Corso. Każdy wspina się na obszerny amfiteatr otaczający obelisk i wszystkich oczy zwrócone są w stronę, skąd konie mają wyruszyć. Konie są bez siodeł i cugli, i mają tylko grzbiet pokryty materyą jaskrawego koloru z przyszytemi dzwoneczkami. Masztalerze przyprowadzają konie swe do przeznaczonego miejsca. Konie stawają za baryerą, a niecierpliwość, którą te zwierzęta okazują, i chęć przebycia baryery, skoro tylko trąbka da znak, nie jest do opisania. Rumaki są między sobą tak zazdrosne jak ludzie, których ożywia jednakowy stopień zamiłowania sławy lub próżności. Namiętność jest u nich tak wielka, iż dobiegając do mety, niejeden z nich pada trupem z wysilenia. Pachołek, którego koń wygrał nagrodę, pada nieraz na kolana przed zwycięzcą i poleca go pieczy świętego Antoniego, patrona koni, z zapałem równie uroczystym dla niego jak komicznym dla widzów.

Za przykładem Anglii zaprowadzono teraz wszędzie wyścigi, których celem ma być wypróbowanie dzielności konia i polepszenie ras. Anglicy uważają wyścigi za skuteczny środek do podniesienia chowu koni. Więc każdy obywatel przyczynia się tam w miarę swéj fortuny i inteligencyi do ulepszenia konia na téj drodze. Wyścigi konne tak są popularne w tém kraju, że równie obchodzą biedaka nie mającego szeląga w kieszeni, jak najbogatszego lorda.

Sławne pod względem wyścigów są konie angielskie krwi czystéj. Rasa ta powstała z krzyżowania koni normandzkich z arabskiemi, które w różnych czasach w bardzo wielkiéj ilości do Anglii sprowadzono. Biegun albo ciekun angielski jest w saméj rzeczy prześlicznem zwierzęciem. Nóżka nadobna i elastyczna w przegubach, milutka głowa z ognistemi i roztropnemi oczyma, cała budowa ciała piękna i lekka, koża gładka i połyskująca, grzywa mała, kędzierzawa. Współubieganie wyradza się u koni niekiedy w namiętność. Biegun krwi czystéj Forrester, który już niejedno odniósł zwycięztwo, musiał współzawodniczyć w nieszczęśliwéj godzinie z nader rączym Elefantem. Miano przebyć $4/5$ mili niemieckiéj. Z początku biegły oba konie w równéj linii, ale późniéj

Elefant troszkę wyprzedził współzawodnika. Ten wytężył wszystkie siły, aby się zrównać z Elefantem. Gdy widział niepodobieństwo, uczynił skok rozpaczliwy i uchwycił przeciwnika za szczękę tak silnie, że ich ledwo rozerwano. Inny koń (Mr. Quin) w takim wypadku dostał prawie szału i tak uchwycił za nogę przeciwnika, że ledwo udało się jeźdźcom rozłączyć zawzięte zwierzęta.

Jak chyże są angielskie konie, tego mamy przykład na sławnym, do dziś dnia nieprzewyższonym biegunie Eclipse. Kapitan O'kelly kupił go od księcia Cumberland za 75 gwineów[1]; wielkości był średniéj, ale nogi miał nadzwyczaj silne. W krótkim czasie zarobił ten ciekun panu swemu 625,000 funtów szterlingów (przeszło $6\frac{1}{4}$ miliona złr.). Nigdy nie poczuł ostrogi ani palcata, a wszystkich przeciwników zwyciężał. Koń ten znamienity przebiegł raz $\frac{2}{3}$ mili niemieckiéj w sześciu minutach i dwu sekundach, robiąc regularnie siedem skoków w trzech sekundach; każdy skok wynosił 25 stóp. Dzielny ten zawodnik rozstał się z światem, mając lat 25, roku 1789. Jego szkielet umieszczono w muzeum w Oxfordzie, gdzie go i dziś oglądać można.

Wyścigi nie były w Polsce obcemi, ale nie miały one wyrokować o istotnych konia przymiotach. Wtedy wojny służyły za pole popisu i próby dzielności konia krajowego. Wyścigi istniały jako zabawa, któréj się jednak często z namiętnością oddawano. Bez wyścigów nie obeszła się żadna uroczystość, żadne zebranie młodzieży, lecz nikt nie rozgłaszał imion zwycięzców, nikt nie zapisywał ani czasu użytego na bieg, ani przestrzeni przebytéj, nikt się nie zajmował porównywaniem wagi współubiegających się, słowem nikt się nie troszczył o ścisłe ocenienie okazanéj dzielności konia, oraz prawdziwéj wartości jego wysilenia[2]. Wyścigi polskie nie odbywały się bez pewnego rodzaju przygotowania konia czyli bez tak zwanego jarowania, o czém nas przekonywuje dzieło Marcina Siennika r. 1564, gdzie jest podany sposób, jak konia do wyścigów jarować należy. Z upadkiem Polski zmarniały sławne niegdyś stada. Dopiero ostatniemi laty zaczęto znowu hodować konie krwi czystéj, szczególnie angielskie, i zaprowadzono wyścigi w Warszawie, we Lwowie, Poznaniu i Wilnie[3].

---

[1] 778 złr. 42 c. srebrem. — [2] Były to takie same niedorzeczności, jak gonitwy pijanych drużbów na weselu chłopskiém lub pastuchów wiejskich. Sponiewieranie konia całym ich owocem. Przyp. red. — [3] Nie wyścigi, przy których przez dłuższy czas kilka koni jednych i tych samych panów zarabia im gruby pieniądz, lecz surowe zapobieżenie dręczeniu koni roboczych przyczynić się może do podniesienia chowu koni. Przyp. red.

Koń bojowy. Człowiek chciwy rozrywek używa wiernego konia na polowaniu, do łowienia i zabijania zwierząt, a na wojnie do wytępiania bliźnich. Średniowieczne igrzyska rycerskie były tylko nibyto wesołą, a w istocie często nienawiścią i zemstą przesiąkłą przygrywką do rzeczywistych czynów wojennych na placu bojowym. Tutaj widział koń i widzi jeszcze dzisiaj płynące strumienie krwi ludzkiéj i własnéj. W bitwie nie traci rumak odwagi, ale ma nawet w niéj upodobanie [1], bo rży głośno. Szczególne to jego rżenie, jakby się śmiał z niebezpieczeństwa(?). Lubi jak żołnierz głos trąbki bojowéj. Grzebie przednią nogą, gdy ten głos wzywa go do biegu i bitwy. Zna i rozumie bębnienie. Zna huk dział, jednak nie lubi go słuchać. Czuje wstręt na widok pozabijanych towarzyszów. Umiera z ran cicho, spokojnie, po bohatersku; śmierć przeczuwa zawczasu.

Z dawniejszych i nowszych czasów nie brak przykładów, jak koń bojowy czyli najezdny przywięzuje się do żołnierza, żyjąc, walcząc i cierpiąc z nim razem. Takim był koń Ramonta w siódmym pułku armii Napoleońskiéj. Stary trębacz Ramont już w wielu bitwach walczył i trąbił. Zawsze postępował na przodzie; cała armia znała dzielnego Ramonta i jego konia, o którym sam mawiał, że i on zasłużył na krzyż legii honorowéj. Ramont tak kochał swego konia, który mu nieraz życie był ocalił, jak brat swego brata kochać powinien. Wierne zwierzę dwa razy w jednym roku ocaliło go od śmierci utonięcia, raz na wiosnę roku 1797 przy przeprawie przez rzekę Piave, a niezadługo potém w czasie marszu do Karyntyi w wezbranych falach rzeki Tagliamento. To téż trębacz nieraz z odmówieniem sobie wygody starał się, aby tylko jego przyjaciel nie cierpiał głodu i pragnienia. Wśród gradu kul nieprzyjacielskich widywano go czołgającego się na brzuchu po wodę dla swego wierzchowca. Koń odwzajemniał się za tę miłość wszelkiemi sposobami, ale niestety nadeszła dla nich godzina wiecznego rozłączenia. W roku 1809 w krwawéj bitwie nad Dunajem zginął trębacz. Pułk jego przeszedł po jego ciele, ale wierny koń pozostał i zdawał się czekać niecierpliwie, rychło jego pan wstanie. Zwierzę stawało się niecierpliwém, nachylało się nad nim, rozwarło nozdrza i chciało go pieszczotami pocieszyć i rozerwać. Gdy po kilku godzinach nadeszli żołnierze, poznali ciało Ramonta i chcieli je podnieść, ale koń rozgniewany nie pozwolił im tego. Bronił on swego pana kopytami i zębami, nie dozwalając nikomu przybliżyć się do niego. Jeden z huzarów za silne kopnięcie chciał się zemścić

[1] Nieraz od strachu cały potem i pianą zlany drży na całém ciele.

na rumaku cięciem pałasza, gdy wtém nadjechał cesarz Napoleon. Zobaczywszy zbiegowisko, przybliżył się, aby się dowiedzieć, o co chodzi; potém obejrzał konia, który z spuszczoną głową stał przy panu swoim, i nakazał zostawić go w spokoju. W pobliżu stała warta francuska, któréj sierżant otrzymał rozkaz, aby uważał na zwierzę, a dnia następnego uwiadomił, co się z niém stało. Jenerał Berthier otrzymał i przesłał Napoleonowi taki raport: „Koń przepędził noc przy panu swoim. Przy wschodzie słońca spostrzegliśmy, że trupa kilka razy przewracał i od głowy do stóp obwąchiwał. Zapewne przekonał się, że pan jego nie żyje, bo zaczął rżeć ponuro i żałośnie; potém pobiegł do Dunaju, wskoczył w jego nurty i utonął.“ — „Chciałbym też wiedzieć,“ rzekł Napoleon zdziwiony i wzruszony, „czy ludzie i teraz ośmielą się twierdzić, że zwierzęta są tylko prostemi machinami bez myśli i czucia, nie mające w sobie nic bożego. Jeżeli ten koń istotnie był taką machiną, jest ona nader godną podziwienia i zniewala nas do czci dla jéj dostojnego twórcy.“ Sławny malarz Horacy Vernet uwiecznił konia Ramonta. Kto się popatrzy na jego obraz „Martwy trębacz,“ ten dozna silnego wzruszenia na widok zwierzęcia, w którego spojrzeniu i postawie przebija się głębokie współczucie dla swego zmarłego pana[1].

Napoleon koniom swoim zawdzięczał wiele. Jego wierzchowce jakby wiedziały, kogo na grzbiecie nosiły. Raz tylko był rannym, a z reszty licznych bitew wyniosły go jego konie bojowe bez nadwerężenia. Gdy był pierwszym konsulem i w jego ręku spoczywał los Rzeczypospolitéj francuskiéj (było to r. 1800), uknuto zamach na jego życie. Na drodze między pałacem Tuilleryów i wielką operą założyli spiskowcy piekielną machinę, która podpalona miała go pozbawić życia. Chyżéj niż zwykle biegły konie przy powozie pierwszego konsula, a gdy wybuch nastąpił, pędziły jakby szalone. Téjto przyśpieszonéj chyżości swych koni zawdzięczał Napoleon ocalenie swego życia. Kilka sekund spóźnienia byłoby naraziło tak jego jak i towarzyszący mu orszak na utratę życia. Podobnież pod Waterloo po przegranéj bitwie uratował go wierzchowiec Ali od grożącéj niewoli.

Wojna jest straszną, miecz wydobyty nie zna litości. Wojna zmusza jeźdźców do zabijania swych wiernych zwierząt, jak to uczynili Anglicy przyparci do muru w Hiszpanii. W wojnie francuskiéj roku 1813 rozkazał gubernator Torgou wielką ilość koni powiązać tuzinami na moście nad Labą. Poręcz wyjęto i zastrze-

---

[1] Obacz Miesięcznik 1876. 26.

lono jednego konia z kraju, który spadając w nurty rzeki, pociągnął resztę za sobą do mokrego grobu. Przed bitwą pod Corunną r. 1809 rozkazał jenerał angielski Moore wystrzelać konie, których dla bliskości nieprzyjaciół nie było można wsadzić na okręty. Biedne zwierzęta drżały i zdawały się rzewném spojrzeniem błagać o litość swoich morderców, aż nareszcie do łez poruszeni jeźdźcy wymówili się od tego smutnego obowiązku. Tym sposobem dostała się Francuzom dosyć znaczna liczba cennych koni, pomiędzy któremi było wiele oficerskich. Uczucie ludzkości nie dozwoliło dotychczasowym właścicielom pozabijać swych wiernych towarzyszów bojowych; więc im pozawieszali kartki z prośbą do nieprzyjaciół, aby się niemi troskliwie opiekowali.

Podobnie postąpił sobie Romana na Fionii, ale koniec był tutaj nader smutny. Na Fionii stały dwa pułki hiszpańskie liczące 1100 wspaniałych andaluskich ogierów. Jenerał Romana nie mógł ich z sobą zabrać, a wystrzelać ich nie chciał, bo był rozmiłowany w tych zwierzętach; więc kazał z nich pozdejmować siodła i uzdy, i cały poczet zostawił na wybrzeżu. Skoro tylko konie poczuły się swobodnemi, zdało się, że jakiś zły duch je opętał. Powstała walka ogólna; podzieliły się na oddziały od 10 do 20, uderzyły na siebie, tratując się nogami, kąsały się i rozdzierały tak zajadle, że po dziesięciu minutach całe wybrzeże było pokryte końmi martwemi i rannemi. Był to widok straszliwy. Romana wzruszony tym wypadkiem rozkazał je zabijać; ale zwierzęta były tak straszliwie rozjuszone, że nikt nie miał odwagi przybliżyć się do nich. Gdy ostatnie czółna odbijały od brzegu, widziano jeszcze resztę koni mordujących się nawzajem. Ktoż rozwiąże zagadkę tego straszliwego zjawiska, które się wylęgło w duszy zwierzęcéj? Konie w tym wypadku stały się hyenami i w sposób okrutny w sztuki się poszarpały.

Wypada jeszcze wspomnieć, w jakiéj cenie jest koń bojowy u Arabów. Gdy się wojownik wybiera na niebezpieczną wyprawę, rodzina nie jemu, lecz koniowi życzy szczęścia, a gdy po bitwie sam do namiotu powróci, to boleść za zabitym ojcem lub mężem nie dorównywa uciesze z ocalenia rumaka. Wtedy syn lub krewny dosiada szlachetnego bedewia, aby pomścić śmierci poległego; zaś po utracie konia nawet zemsta nie może ukoić rodziny. Gdyby jeździec wrócił bez konia, czeka go w domu najgorsze przyjęcie. Krzyki i narzekania nie mają końca, żałoba trwa po nim miesiące.

Rycerstwu polskiemu koń wyświadczał znakomite przysługi, a na polu sławy jaśnieje koń polski w dziejach nietylko naszego

narodu. Jenerał Wittenberg, wódz szwedzki, tak przemawiał do swoich żołnierzy: „Wytrzymujcie Polaków natarcia w jak najgęstszym szyku, albowiem luźni niezawodnie ich natarcia nie wytrzymacie. Niechaj zaś żaden z was w ucieczce ratunku nie szuka, bo nic nie jest w stanie ujść przed nadzwyczajną rączością i wytrzymałością koni.“ Że prawdę mówił ten jenerał, o tém przekonywuje oddział Czarneckiego, który zpod Gdańska nagle się pod Krakowem zjawia, potém nad Dzwinę się przenosi i znowu na Ukrainę jakby cudem spada. Wszystkie rzeki wpław przebywał, a w Danii przepłynął odnogę morską. W r. 1624 hetman Koniecpolski wpadł na wracających z bogatym łupem Tatarów i pobił Kantymira na głowę nad brzegami Dniestru. Pancerne chorągwie gnały bez ustanku nieprzyjaciela przez 26 godzin. Słynnemi są w dziejach jazdy rącze i nagłe marsze Jana Sobieskiego. Niepojętéj lotności, hartu i siły były konie owych hufców, przez wielką część 17 wieku znane pod mianem naprzód Straceńców, potém Lisowczyków czyli Elearów polskich, które przebiegły całą Europę od Uralu aż do Paryża. Hufce te były tak rącze i nagłe jak błyskawica, a tak niszczące i burzące jak piorun. I w późniejszych czasach sławną była polska konnica, o czém świadczą jéj czyny pod Samosierą, Raszynem i w wielu innych miejscach.

Koń bojowy czyli najezdny nosił w Polsce rycerza, sługa zaś zwany luzakiem albo ciurą dosiadał podjezdka, a koń podwodny ciągnął za wojskiem wóz z żywnością lub amunicyą. Oprócz tego miało wojsko konie powodne czyli powodowe, które szły bez jeźdzców.

Koniec dumnego zwierzęcia. Jak człowiek tak i zwierzę przechodzi rozmaite w życiu swém koleje. Tego losu doznaje i koń. Za młodu kochany i karmiony, potém jest chlubą jeźdźca, pociechą woźnicy gospodarza, jeżeli ten jest człowiekiem uczciwym, co u nas jest wyjątkiem, bo zazwyczaj, dostanie się zaraz pod batog dzikiego parobka, który go nieraz pędzeniem o śmieć przyprawia. Zaczyna kuleć, jednak musi ciągnąć i biegać. Nareszcie staje się własnością drążkarza, człowieka wyzutego z uczucia i sumienia, który karmi go sieczką, krzywdzi, bije i poniewiera, butami pod żebra kopie, a ostatecznie jakiż koniec tego zwierzęcia? I koń ma młodość do swawoli, lata młodzieńcze do parady, wiek męzki do pracy, starość ociężałą i przykrą; i konie kwitną, dojrzewają i więdnieją. „Żadnego człowieka,“ rzekł Solon, „za życia szczęśliwym nazwać nie można.“ Mógł on powiedzieć: „Ani człowieka ani zwierzęcia za życia szczęśliwym nazwać nie można.“

Nawet koń wojownika, któremu on nieraz życie ocalił, na starość marnie z nędzy ginie. Idącego ulicą miast większych zaboli nieraz serce na widok owych wysilonych i zgonionych, nie rzadko ranami i wrzodami okrytych biednych szkapiąt, których praca nad siły, okrutne obchodzenie się z niemi i głód w szkielety pozamieniały. Komuż nie nastręczył się smutny widok padającego zwierzęcia, które uległo wytężeniu sił nad miarę, albo nie doznając pomocy i omdlałe, nie mogło się z miejsca ruszyć? Nim do tego smutnego dojdzie końca, zawsze lepiéj, że biedne zwierzę zginie na wojnie, albo jak w wielkich miastach zostanie przeznaczoném na rzeź; śmierć w takim razie jest wybawieniem od długiéj a okrutnéj męczarni. Mięso końskie jadają ludzie ubodzy w Londynie, Paryżu, Berlinie i Wiedniu.

Choroby konia. Konia uważano za wcielone zdrowie, a gdy w człowieku spostrzeżono wytrwałe zdrowie, mówiono o nim, że zdrów jak koń. Ale i konie podlegają rozmaitym chorobom. Niekiedy nawiedza je zaraza, która wytępia konie w całéj okolicy. Do najniebezpieczniejszych chorób końskich należą: Nosacizna, mocne zapalenie przegrody nosowéj; choroba bardzo zaraźliwa, udzielająca się nawet ludziom, a powstająca z niepomyślnie przebytych zołzów; zołzy czyli skrofuły są napuchnięciem gruczołów żuchwiowych; gruda, strup mokry lub suchy czyli parch, przyczém sierść wypada; cholera końska czyli zapalenie mózgu; szara czyli czarna łuszczka, ślepota ócz nieuleczalna; ochwat, choroba stawów; ochwat suchy powstaje, gdy konia obficie obrokiem nakarmionego zanadto się pędzi, albo gdy zmordowanemu dadzą obroku; ochwat wodny, gdy zgrzany prędko się napije lub przez wodę przejdzie. Ochwat wietrzny, gdy się konia pędzi pod wiatr. W trzewiach i w nosie przebywa poczwarka gzika. Gziki żołądkowy, jelitowy i nosowy są to muchówki, które pojawiają się w lipcu na pastwiskach. Samica gzika żołądkowego składa swe jajka na koniu, mianowicie na włosach przednich nóg, na szyi i grzywie. Wylęgłe z nich gąsieniczki dostają się do żołądka, przyczepiają się do jego ścian i żywią się sokami, a dorosłszy po 10 miesiącach wychodzą z konia i przepoczwarczają się w ziemi. Gzik jelitowy składa jajka koniowi na nosie lub wardze, a wylęgłe gąsieniczki włażą mu do jelit. Gąsienice gzika nosowego żyją w gardle koni i pobudzają je do kaszlania. W nérkach i wątrobie przebywają bąblowiec, w oczach włóśnik, a na skórze wszoły. Gdy koń nie rży, utrzymują, że jest głuchy.

Opieka prawna nad koniem w Polsce, a teraz w Galicyi. Polski wyraz złodziéj okazuje, jak u przodków naszych największém złém była kradzież. Dlatego prawo polskie surowo karało złodziejów, a za kradzież koni Statut litewski w rozdziale 16, art. 15 każe gardłem karać, jeżeli po raz trzeci człek prosty, a po raz czwarty szlachcic na gorącym uczynku był schwytany. Złodziéj ukradłszy konia, musiał go rączo zacinać, aby ujść licznéj a ciągłéj pogoni, bo w Statucie wiślickim powiedziano: „Sąsiedzi winni powrót konia skradzionego, jeżeliby gonić złodzieja nie chcieli, a wtémby złodziéj uciekł.“ Artykuł 131 Statutu wiślickiego stanowi: „Kto trzy razy za kradzież albo łupieztwo został przekonany, ten choćby rzecz skradzioną zwrócił, na wieczne czasy czci pozbawionym być ma i ani żadnych godności, ani żadnych darów od króla dostąpić nie może.“ Artykuł 132 tegoż Statutu oznacza opłaty za zabicie lub okaleczenie koni. „Kto klacz zabije, płaci 3 grzywny; kto ją zrani, że płód porzuci, 1 1/2 grzywny; kto źrebca dwuletniego zabije, płaci 5 grzywien; jeżeli zaś źrebiec był starszy, zapłaci zaprzysiężoną wartość tegoż właścicielowi.“ Statuty Zygmuntowskie stanowią za grabięż źrebca 8 kop (171 złp. 11 gr.), za klacz 4, a za chłopskie konie 2 kopy. Ustawy wojenne hetmana Tarnowskiego brzmią: „Kto komu łosię zabije, dać ma za nie 4 grzywny; za źrobka 3; a kto komu obrazi źrebca we dwa lat, ma zapłacić 5 grzywien.“

Przy takich ustawach i przy ścisłém ich przestrzeganiu rzadko kiedy w Polsce kradzież koni się wydarzyła, nie tak jak za naszych czasów, że w niektórych okolicach są uorganizowane bandy złodziejów końskich.

Teraz — niestety! — nie mamy ustawy chroniącéj tak pożytecznego, tak niezbędnego jak koń zwierzęcia od nieludzkiego, dzikiego obchodzenia się z nim, i ani władze rządowe, ani autonomiczne, ani towarzystwa rolnicze, ani towarzystwo chowu koni nie postarały się o prawną i słuszną nad nim opiekę, a podania wniesione w tym względzie roku zeszłego do sejmu i do namiestnictwa zostały bez skutku.

Z życia zwierząt.

Czy zwierzęta mają duszę?

(Dokończenie.)

O czém świadczy wypadek następujący, podany do *Univers* (1877, 3 lutego)? Sędzia Duffy w Nowym Yorku znalazł się raz

w położeniu przypominającém sąd Salomona. Stronami spornemi byli Jan Koler i Paweł Kanitz, a przedmiotem sporu pies nowofundlandczyk, którego policyant trzymał na smyczy wobec sądu. Rozchodziło się o prawo własności co do psa. Publiczność obecna była gotowa przysiądz, że pies należy do Kolera, to znowu, że jest własnością Kanitza, w miarę, jak który z nich zabierał głos. Sędzia, nie chcąc sam rozstrzygnąć sporu, rzekł, że sąd pozostawi psu, gdyż instynkt zwierzęcy najsprawiedliwiéj spór rozwiąże. Na rozkaz sędziego Koler stanął po prawéj stronie stołu sądowego, a Kanitz po lewéj; psa zaprowadzono na środek w równéj odległości od obu. „Gdy powiem trzy," rzekł sędzia, „policyant spuści psa ze smyczy, a wy mniemani jego właściciele gwizdniecie równocześnie. Do kogo pies pobiegnie, ten go zatrzyma, gdyż niezawodnie pobiegnie do rzeczywistego pana swego." Sędzia liczył donośnym i wyraźnym głosem: „Raz, dwa, trzy." Na słowo „trzy" policyant puścił psa i równocześnie usłyszano współzawodniczące gwizdnienie. Pies zwrócił się do Kolera i począł groźnie warczeć; następnie szczeknąwszy na Kanitza, rzucił się ku drzwiom i znikł jak błyskawica. „Domyślałem się, że pies był skradziony," rzekł sędzia[1].

Pies od niepamiętnych czasów odznacza się wiernością i przywiązaniem, posłuszeństwem i przychylnością do ludzi, czujnością, usłużném i przyjacielskiém zachowaniem się, łagodnością i potulnością; jest on obok konia najlepszym przyjacielem, towarzyszem i stróżem pana swego i prawie nieodłącznym od człowieka.

Jak wzruszającą jest scena z odległéj starożytności, którą Homer opiewa! Odysseus wraca po dwudziestu latach błąkania się do ojczyzny; ani żona, ani syn, ani służba nie poznają go; jeden tylko Argos, wierny pies domowy, łasi się, wita pana swego i umiera z radości, że pana swego obaczył[2].

---

[1] Ob. Czas z 23 lut. 1877.

[2] Odyssea. Księga 17, w. 291—327. Podaję tutaj ten ustęp w tłumaczeniu L. Siemieńskiego.

Kiedy taki rozhowor wiódł Odys z pastuchem,
pies leżący tam blisko łeb podniósł, strzygł uchem;
był to Argos, którego sam Odys wychował,
lecz nie użył, gdyż wcześniéj on był pożeglował
pod Troję. Potém chłopcy go na polowanie
brali w góry na kozy, zające i łanie.
Teraz leży wzgardzony, gdy nie stało pana,
na kupie, co zpod mułów i krów wyrzucana
zalega koło bramy; gnojem tym nawożą
parobcy pola pańskie i pożytek mnożą.
Na nim to leżał Argos, jedzon przez robactwo.
Lecz skoro bliskość pana zwietrzyło biedactwo,
pokiwało ogonem, tuląc uszy obie;

Piękne są przymioty i cnoty psa, zadziwiające niejednokrotnie umysł ludzki, a nie dające się żadną miarą wykorzenić u niego lub osłabić w nim. Przymioty te powinnyby inaczéj usposobić niejednego wroga zwierząt, a przedewszystkiém kinowstrętów, którzy usilnie przemawiają za wytępieniem psów, i nie wstydzą się kłamać publicznie, byleby tylko dopiąć swego. Ale niechaj pomną, że wzniosłym był zamiar Stwórcy, skoro psa przeznaczył zpomiędzy wszystkich zwierząt człowiekowi do pomocy i służby. Posłuchajmyż słów znakomitego psychologa Scheitlina, który pisząc o sławnym w swoim czasie psie z góry św. Bernarda, imieniem Barry, tak się o nim wyraża: „Najznakomitszym psem, którego znamy, nie był ów, który jak Bezerillo setki gołych Indyjan rozszarpał; nie pies oprawcy, który na rozkaz pana swego towarzyszył podróżnemu dla jego obrony przez długi, ciemny las, ani pies Drydena, który, skoro pan nań skinął, rzuciwszy się na cztérech rozbójników, kilku udusił i tym sposobem ocalił życie panu swemu; ani ten pies, który oznajmił w domu, że dziecko młynarza wpadło do potoku; ani ów pies z Warszawy, który z mostu skoczył do Wisły i wyratował dziewczątko od śmierci w bałwanach rzeki; ani pies Aubryego, który z zajadłością uchwycił mordercę pana swego i w obecności króla byłby go rozszarpał; ani téż pies Benvenuta Celliniego, który zbudził złotników, gdy chciano skraść kosztowności; tylko pies Barry, święty pies z góry św. Bernarda. Tak, Barry, ty najzna-

---

chciałoby się poczołgać, sił nie miało w sobie.
Uważał to Odyssejs i łzę uczuł w oku;
otarł ją, by nie widział pastuch, co stał z boku.
„Dziwna rzecz, Eumeju!“ Odys doń powiada,
„jak ten pies na barłogu pięknym jest nielada!
Z tym kształtem czy i rączość łączył, szedł na łowy?
czy téż to ot zwyczajny sobie pies stołowy,
jakich dużo na dworach trzymają panowie?“
Na to pastuch Eumej te słowa odpowie:
„Ten pies, to własność męża dawno już zgasłego!
Trzeba ci było widzieć kształt i rączość jego
wtenczas, kiedy na Ilion Odys szedł z wyprawą;
zdziwiłbyś się psa tego siłą i postawą.
Przed nim nie mógł zwierz żaden umknąć, tak był rączy;
wpadłszy na trop, wciąż trzymał niezrównany gończy.
Teraz zbiedniał, pan jego przepadł gdzieś daleko,
więc mu źle pod niedbałych służebnic opieką,
bo to tak z tą czeladzią, niech pan nie napędza,
zaniedba obowiązku, rąk sobie oszczędza.
Zews wszechmocny obdziera człowieka z połowy
cnéj poczciwości, odkąd ten bierze okowy.“
To powiedziawszy, odszedł w głąb pysznych podwoi
do izby, kędy świetny tłum gachów się roi.
Tymczasem Argos w śmierci pogrążył się mroku,
gdy ujrzał swego pana po dwudziestym roku.

komitszy z psów, najszlachetniejszy zpomiędzy zwierząt! Tyś był wielkim, myślącym psem ludzkości, tyś posiadał serce pałające dla nieszczęśliwych. Tyś ocalił życie więcéj niż czterdziestu ludziom! Tyś wychodził co dzień z klasztoru z twoim ulubionym koszyczkiem, chlebem i flaszeczką z orzeźwiającym napojem, aby odszukiwać i wygrzebywać zasypanych śniegiem, a w razie niemożności szybko powracał do domu, aby bracia klasztorni szli za tobą z łopatami i pomagali tobie w odkopywaniu. Tyś stanowił sprzeczność z gróbarzem, albowiem tyś wskrzeszał. Tyś umiał jak czuły człowiek spółczuciem krzepić nieszczęśliwych i zjednywać ich sobie, gdyż inaczéj owo wykopane dziecko z pewnością nie byłoby się odważyło wsieść na twój grzbiet, abyś je zaniósł do gościnnego klasztoru. Przybywszy tam, pociągnąłeś za dzwonek u świętéj bramy, abyś mógł drogie dziecko znalezione oddać w ręce miłosiernych zakonników do dalszéj opieki. Każde powodzenie zachęcało cię i robiło cię weselszym i czynniejszym. To jest istne błogosławieństwo za dobry uczynek, że ustawicznie dobre tylko rodzi owoce. Ale w jaki sposób rozmawiałeś z znalezionymi? jakimże sposobem natchnąłeś ich odwagą, pociechą i nadzieją? Udzieliłbym był tobie mowy, aby niejeden człowiek mógł się tego od ciebie nauczyć. Ba! nie czekałeś nawet, aż ci kazano pójść szukać; tyś sam pamiętał o swoich obowiązkach jak pobożny, Bogu miły człowiek. Skoro tylko przeczułeś zdala nadchodzącą mgłę lub zawieruchę śnieżną, śpieszyłeś w pole. Cożbyto z ciebie było, gdybyś był człowiekiem? Świętym Wincentym, założycielem stu miłosiernych zakonów i klasztorów. Tak niezmordowanie, nie pragnąc wdzięczności, postępowałeś przez lat dwanaście. Miałem szczęście i ten zaszczyt, poznać cię na górze św. Bernarda. Zdjąłem przed tobą kapelusz, jak przystało, z pełném uszanowaniem. Tyś się bawił wówczas z swoimi towarzyszami, jak tygrysy z sobą igrają. Chciałem się z tobą zaprzyjaźnić, aleś ty mruczał, tyś mnie nie znał. Ja atoli znałem już dawno sławę twoję i głos twój. Gdybym był nieszczęśliwym, z pewnością nie byłbyś na mnie zamruczał. Obecnie wypchany stoisz w muzeum w Bernie. Miasto zaś słusznie sobie postąpiło, że ciebie, gdyś już był stary i nie mógł więcéj służyć ludziom, pielęgnowało i żywiło aż do twojéj śmierci. Ktokolwiek ogląda cię wypchanego w Bernie, niech zdejmie przed tobą kapelusz i kupi tam twój obraz, i niech go zawiesi w ramach za szkłem w swoim pokoju, niechaj téż kupi obraz owego pięknego chłopca, spoczywającego na twoim grzbiecie, jak z nim stoisz przed bramą klasztorną i dzwonisz, i niech go pokazuje dzieciom i uczniom mó-

wiąc: Idź i czyń podobnie, jak ten miłosierny Samarytanin czynił, i wyrzuć oknem wiszące na ścianach obrazy Robespierrea, Marata, Hannickela, Abellinoa i innych morderców i rozbójników ludzkości, aby młode pokolenie uczyło się od psów tego, czego się od ludzi nauczyć nie może."

Otoż słowa znakomitego badacza i wielkiego miłośnika przyrody, słowa wypowiedziane z głębi serca przywiązanego również do świata zwierzęcego jak do ludzi[1].

Że psy są dobre albo złe, złośliwe i rozpustne albo obyczajne i szlachetne, stosownie do okoliczności ich pochodzenia i sposobu ich wychowania, to jest rzeczą wiadomą. Buldok może być albo bardzo niebezpiecznėm zwierzęciem, skłonnėm do zdrady, przebiegłości, bezwstydności i okrutności, albo też szlachetnėm, pełnėm uczucia, wiernėm, wspaniałomyślnėm, jest nawet gotów poświęcić swe życie za pana swego. Jeżeli ciura lub rozpustnik, jak powiada *The animal World* (1877, lut.), jest jego opiekunem, pies będzie naśladował pana swego w wadach jego i występkach; jeżeli pan jego jest dobrym i ludzkim człowiekiem, pies nabywa jego cnót. A zatėm jaki pan, taki kram. Ludzie chowający zwierzęta są odpowiedzialnymi za ich dobre i złe przymioty. Jak miłość rodzi miłość w sercu ludzkiém, tak samo miłość i ludzkość okazywane zwierzętom wzbudza w ich duszy również miłość i dobroć. Śliczna i wzruszająca rycina znajduje się na pierwszéj stronicy drugiego numeru tegorocznego Miesięcznika królewskiego towarzystwa ochrony zwierząt w Londynie *The animal World*. W środku pokoju leży na dywaniku piękny, czarny pies czuwający; obok niego śpi dziewczynka, oparłszy na nim główkę swoję. W oczach psa widać taką dobroć i takie przywiązanie do dziewczynki obok niego śpiącéj, iż trudno wylać na papier to uczucie, jakiego się doznaje, przypatrując się téj rycinie. Również piękną jest rycina umieszczona na czele pierwszego tegorocznego numeru tegoż czasopisma. Przedstawia ona w ogrodzie pełnym róż królowę Anglii i córkę jéj księżniczkę Beatrycę w towarzystwie czterech psów. Królowa dumna z tych wiernych przyjaciół swoich, dała się z niemi fotografować i przesłała fotografią londyńskiemu towarzystwu ochrony zwierząt jako podarunek noworoczny dla wszystkich miłośników zwierząt, czytających ten Miesięcznik. Zrobiono odbitkę do roz-

---

[1] Istotnie niejeden pies z góry św. Bernarda, niejeden nowofundlandczyk, nawet sam jeden Barry, więcéj zrobił dobrego na świecie, więcéj wyświadczył dobrodziejstw plemieniu ludzkiemu, niż wszyscy nasi zaciekli obrońcy kagańców i sprzymierzeńcy oprawców razem wzięci.

sprzedaży, z któréj czysty dochód przeznaczony jest dla tegoż towarzystwa.

Zajmujący wypadek, który miał zdarzyć się w Paryżu w Jardin des Plantes, podały gazety nasze[1]. Niańka była tak nieostrożna, że mając na ręku dziecko, nachyliła się nad jaskinią niedźwiedzią, przyczém dziecko wypadło jéj z rąk do jaskini. Znajdujące się w niéj dwa niedźwiedzie z wielką zaczęły je obchodzić ciekawością i owąchiwać, nic jednak nie czyniąc biedactwu. Wnet zbiegły się tłumy ludzi na miejsce wypadku; wszyscy stali nieporadni nad jaskinią; w końcu znalazł się jakiś odważny człowiek, który się podjął zejść między niedźwiedzie i przynieść dziecko. Nadbiegli strażnicy ogrodu na linie spuścili go do jaskini. Pewnym krokiem postąpił on ku drapieżcom, spoglądającym na niego łagodnie i z pewném zadowoleniem, podjął dziecko z ziemi i wśród radośnych okrzyków tłumu stanął z niém wkrótce przed rozpaczającą niańką. Biedne dziecko miało jednak rączkę złamaną wskutek spadnięcia z dość znacznéj wysokości.

Dwa lata temu zatrzymałem się podczas podróży po Szkocyi, opowiada pan M., w domu wiejskim. Między domowemi zwierzętami widziałem pięknego kota i parę pawiów. Trójka ta żyła z sobą w zgodzie i przyjaźni; można ją też było widzieć często razem w ogrodzie. Pawie kroczyły sobie wymierzonym, pewnym krokiem, a kot albo wyłaził na drzewa i złaził z nich albo też kładł się pozornie spać na trawniku, czając się na ptaki. Okna mego pokoju wychodziły na ogród i lubiłem przypatrywać się sztuczkom przebiegłego kota. Jednego poranku przestraszył mnie przeraźliwy pisk ptaka prawdopodobnie schwytanego. Spojrzawszy przez okno, widziałem kota siedzącego na trawniku nad jakimś czarnym przedmiotem. Wtém oba pawie, usłyszawszy pisk, wyciągnęły nasamprzód szyję, potém pobiegły natychmiast ku memu zdziwieniu do kota i kilką silnemi uderzeniami dzióbem zmusiły go do puszczenia ptaka, który odskoczył między krzaki. Był to młody drozd. Poczém pawie odeszły. Przeszło minutę stał kot spokojnie; potém obszedł naokoło grządkę z kwiatami, a za chwilę usłyszano nowy głośny pisk tego samego ptaka, powtórnie pochwyconego przez kota. W oka mgnieniu rzuciły się pawie znowu na kota i powtórnie uwolniły ptaka z jego szponów. Tym razem kot, będąc trochę w strachu, cofnął się wstecz, drozd zaś odszedł wolno w bok. Paw uważając na to bacznie, kręcił się żwawo naokoło, i patrząc kotowi w oczy, stanął wreszcie przed drozdem, podczas

---

1 **Gazeta lwowska i Czas. 1877, luty.**

gdy jego połowica znajdowała się tuż obok niego. Ta obrona drozda dokonana przez pawie bardzo mnie zajęła; przywołałem więc z drugiego pokoju żonę, aby uważała na koniec téj obrony i zadzwoniłem na służącą. Dwie czy trzy minuty upłynęły, nim przyszła. Tymczasem pawie broniły zacięcie drozda. Kot robił największe usiłowania, aby zajść z tyłu i pochwycić biednego drozda. Pawie stawały zawsze kotowi oko w oko, oblatując również szybko grządkę, ile razy kot usiłował zajść z tyłu, i nie zwolniły swéj baczności i czujności, aż służąca, któréj kazałem zejść do ogrodu, przybyła i odpędziła upartego kota[1].

Od Jana Rosenzweiga, ucznia gimnazyalnego w Krakowie, otrzymałem następującą wiadomostkę o bocianie. Roku 1874 w jesieni we wsi Kaźmierzy Wielkiéj w Królestwie polskiém w pobliżu Skalbmierza na przelocie do innych krajów wpadł bocian do komina fabryki cukru „Łubna“ i zostawał tam, jak się pokazało, ośm (?) dni, aż go znaleziono przy czyszczeniu komina. Gdy się o tém dowiedział dyrektor fabryki, kazał go obmyć, bo był całkiem zawalany sadzami, mlekiem napoić i trzymać w kuchni. Bocian tak się wkrótce oswoił, iż nigdzie nie uciekał, aż dopiero na drugi rok z innemi bocianami do cieplejszych odleciał krajów.

Czegoż dowodzą powyższe przykłady, przytoczone z życia zwierząt? Odpowiem na to krótko słowy Cuviera, słowy nie dla pozoru wypowiedzianemi, lecz opartemi na gruntowném badaniu przyrody, na głębokiéj nauce i długoletniém doświadczeniu: „Skłonność i potrzeby nie prowadzą zwierząt do czynności bezwiednych.“ Rozumne i bezstronne zastanawianie się nad zwierzętami, czy ssakami, czy ptakami, czy nawet téż robaczkami i owadami, doprowadzi każdego, co ma oczy ku widzeniu, a serce ku czuciu, do przekonania, że zwierzęta posiadają duszę, więc wyobraźnią, uczucie i rozum, a zatém cechy umysłu ludzkiego, że posiadają zarówno jak ludzie uwagę, pamięć, rozwagę, uczucia podziwu, radości lub przestrachu, gniewu i nienawiści, obrazy, zemsty, litości i wdzięczności.

Kraków w marcu 1877. *B. G.*

---

[1] The animal World. 1877. Febr.

Katechizm w przedmiocie opieki nad nierozumnemi żyjącemi istotami, a mianowicie nad zwierzętami domowemi, ułożony przez ks. Seweryna Paszkowskiego, Magistra praw. W Krakowie 1877. Str. 46.

Jak zagraniczne towarzystwa ochrony zwierząt czyli opieki nad zwierzętami, tak też pojedyńczy ich członkowie wydawaniem stosownych pisemek pouczających starają się oświecać publiczność czytającą o potrzebie, moralnym obowiązku i materyalnych korzyściach coraz szerzéj wykonywanéj moralnéj i prawnéj opieki nad zwierzętami. Złego wszędzie dosyć, więc i za granicą; w wielu miejscach jest go jednak co do namienionego przedmiotu już znacznie mniéj niż u nas, raz, że liczba czytających rzeczy pożyteczne jest tam niesłychanie większa niż u nas, więc rozrzucane ziarna rady, przestrogi, nauki lub prośby liczniéj padają na ziemię urodzajną i obfitszy wydawają owoc; powtóre, iż władze gdzieindzie większą odznaczają się sprężystością, podczas gdy u nas ta sprawa wielu wcale nie wiele obchodzić się zdaje. Jak u nas jest, to jest, co do oświaty, moralności i dobrobytu w ogóle wcale nie świetnie, i dlaczego tak jest, wiadomo każdemu. Tak mija pokolenie po pokoleniu bez widocznego postępu. Pierwszém źródłem oświaty szkoła; lecz jaka płaca, taka praca, taki pracownik, taka szkoła, taki nauczyciel; jaki nauczyciel, jaka szkoła, taka oświata; jaka oświata, taka obyczajność. Potrzeba więc bardzo silnego przekonania, aby wobec takiego stanu rzeczy nie zwątpić, owszem mieć ochotę do wzięcia na siebie czynności biblijnego siewacza, wiedząc, że u nas nie czwarte, ale nawet setne ziarnko nie padnie na grunt urodzajny.

Do takiego ziarna sianego, któremu stokrotny życzymy plon, liczymy powyżéj przytoczoną książeczkę. Podzielamy w zupełności zdanie autora jéj, że złe obchodzenie się z zwierzętami, szczególnie domowemi, pochodzi już to z braku należytéj oświaty i poczucia litości, już też z niedostatecznéj karności prawnéj, któréj niedostatecznego przestrzegania znowu nie należy przypisać niczemu innemu, jak niedostacznéj oświacie i brakowi serca u dotyczących urzędników. Jedno i drugie jest skutkiem niedostatecznéj nauki szkolnéj i własnéj opieszałości w późniejszém wypełnianiu szczerb téjto nauki. Zgadzamy się więc znowu z życzeniem autora Katechizmu, aby takowy znalazł jak najwięcéj czytelników w szkołach i poza szkołą.

Autor Katechizmu wychodzi z zdania biblijnego, ustanawiającego wprawdzie człowieka pełnomocnikiem stworzeń ziemskich, lecz ograniczonym prawem bożém i społeczném. Dalsze uwagi swoje umieścił w dwóch częściach, z których pierwsza obejmuje rzecz o stosunku człowieka do zwierząt, szczególnie domowych, i o odpowiadających temuż stosunkowi obowiązkach; następnie o nadużyciach ludzkich w tym względzie popełnianych i o środkach zapobiegania im dla polepszenia losu pokrzywdzonych zwierząt. W téj części mamy objaśnione następujące zdania: 1) Prawo własności nie upoważnia właściciela zwierzęcia do nielitościwege obchodzenia się z niém i do wyrządzania mu krzywdy, przeciwnie człowiek zwierzęta uważać powinien za stworzenia boże i dlatego dobrze obchodzić się z niemi, a ciągnąc z nich korzyści bez obrazy Boga i bez krzywdy innych ludzi, im także nie powinien wy-

rządzać krzywdy; 2) zabijając z potrzeby zwierzęta, należy to czynić bez naruszenia praw cudzych, bez okrucieństwa i bez naruszenia przepisów moralności, takich zatém przy zabijaniu zwierząt używać należy sposobów, które im zadawają śmierć jak najprędszą i najmniéj bolesną; 3) nie należy niszczyć ptaków owadożernych, ani zabierać im gniazd, piskląt lub jaj; 4) chwytanie ryb na wędę jest podwójnie ohydném; 5) niegodziwém jest także nadziewanie gęsi dla prędkiego ich utuczenia; 6) nie należy owadów wbijać żywcem na szpilki, i jak w tym względzie postępować należy; 7) naganném jest rzucanie szczeniąt i kociąt do rzeki, chwytanie zwierząt w żelazka, pobudzanie jednych do szarpania i kaleczenia drugich; 10) nie należy szczwać psami, kaleczyć lub zabijać napotkane w swém polu cudze bydlęta, gęsi i t. p.; 11) jak obchodzić się należy z bydłem roboczém; 12) na co należy mieć wzgląd przy prowadzeniu lub przewożeniu bydląt na jarmarki i targi; 13) jakie ulepszenia należy zaprowadzić pod względem przewożenia koleją żelazną zwierząt na rzeź przeznaczonych; 14) jak się należy obchodzić z psami; 15) zwyczaj chwytania i więzienia ptaków w klatkach jest w ogóle zły; 16) jak się należy obchodzić z drobiem; 17) coby należało czynić dla ptasząt i innych zwierząt dziko żyjących (sarn, zajęcy) w zimie podczas silnych mrozów i śniegów. W części wtóréj rozprawia autor o środkach upowszechnienia i zaprowadzenia należytego obchodzenia się z zwierzętami.

Otoż treść Katechizmu ks. Paszkowskiego, pierwszéj u nas w tym rodzaju, równieź pożądanéj jak pożytecznéj książeczki. Jeżeli zaś w niektórych szczegółach nieco odmiennego jesteśmy zdania i różnicę tę tutaj wypowiemy, nie ujmie to, jak téż tego życzymy, w niczém ani wartości książeczki, o któréj mowa, ani zadowolenia, jakie każdemu uczciwemu człowiekowi, każdemu szczeremu przyjacielowi ludzkości i miłośnikowi przyrody sprawi jéj przeczytanie.

Naprzód niepodobna zgodzić się na nazwanie zwierząt w ogóle i stale «istotami żyjącemi nierozumnemi», raz iż nierozumnemi nie są, na co jest dowodów więcéj, niż ich potrzeba, tak w zdarzeniach z życia zwierząt, nie dających się ani zaprzeczyć ani pojąć przy braku rozumu, jako też w zdaniach najświatlejszych przyrodników naszego wieku, a nawet wielu pisarzy dawniejszych i najdawniejszych czasów; powtóre przydomek ten, jak razi bezustannie przy czytaniu, tak zostaje w dotykalnéj sprzeczności z treścią i uczciwym celem całéj książeczki; po trzecie, skoro zwierzęta są istoty żyjące bezrozumne, czémże będą rośliny?

Bez bliższego określenia dziwaczném wydać się może zdanie, że zabicia zwierzęcia wymagać może jego własne dobro (str. 11). Jedyny wypadek dający się tutaj pomyśleć jest zabicie zwierzęcia dla uwolnienia go od dłuższych mąk lub katuszy (ob. str. 41, 7).

Bezzasadném jest zdanie, że niegodziwe zabicie zwierzęcia jest przewinieniem bądź lekkiém, bądź ciężkiém według szkody wyrządzonéj komuś (str. 11). Więc gdyby zwierzę nie było niczyją własnością, zabicie jego nie byłoby żadném przewinieniem. Po dalsze tego przedmiotu wyłuszczenie odsyłamy do dziełka prof. P. Scheitlina: *Friedrich der Thierquäler. St. Gallen. 1857.*

Tu i owdzie autor Katechizmu, zdaje się, nie miał odwagi wypowiedzieć całéj prawdy. Tak «bez słusznéj przyczyny» nie wolno zabierać z gniazd piskląt lub jaj (str. 14), «bez słusznéj przyczyny« nie należy zwierząt krajać żywcem (str. 16), «w ogóle mówiąc,» nie dobry jest zwyczaj, chwytać ptaszki i więzić je w klatkach (str. 36). Co jest złém lub łatwo takiém stać się może, co niekorzystnie działa na rozwój uczucia i takowe przytępia lub całkiem wykorzenia, jest złém. Miejmyż odwagę nazwać je bez ogródki złém, czy to jest dla kogo nowością lub nie, czy się komu podoba lub nie. Ludzkie obchodzenie się z ludźmi jest u nas rzeczą dosyć młodocianą, a cóż dopiero z zwierzętami! Przecież znamy wielkich (w własnéj głowie i myśli) pedagogów, którzy dzieciom swoim pozwalają wszystkich możliwych względem zwierząt niegodziwości. Cóż dopiero czynić będą niepedagogowie? Ci zawsze słuszną mają przyczynę do psucia ptaszętom lęgu, do chwytania ich i więzienia po smrodliwych klatkach, do krajania zwierząt żywcem, itd.

Obrazki cywilizacyi galicyjskiéj.

Grzymałów. Jak w całéj Galicyi, a szczególnie wschodniéj, tak i tutaj katowanie zwierząt jest na porządku dziennym. Sławetny ten gród położeniem swojém na wzgórzu nastręcza chłopcom tamecznym skądkolwiekbądź przybywającym miłéj sposobności do tłuczenia nędznych szkap po głowie i nogach; owiec i cieląt nielitościwie powiązanych kładzie się na wóz tyle, ile ich tylko natłoczyć można. Gęsiom, aby może jako ptaki nie uleciały z targu, żydzi wykręcają nogi i potém skrzydłami razem je zwięzują, tak iż zupełnie ubezwładnione po największéj części leżą w ciasnych kojcach wraz z kogutami i innym drobiem powywracane na grzbiecie ; na rynku walają się także na grzbiecie lub boku po ziemi, a względnie w błocie. Niejednego lubownika dręczenia zwierząt a przeciwnika towarzystwa opieki nad niemi wartoby zaprosić tutaj na targ czwartkowy i nasyciłby serce swe miłemi widokami. Chłopi i żydzi jadący do miasta, więc pod górę, niemiłosiernie biją biedne i nędzne konie, a wracając, zazwyczaj mniéj lub więcéj pijani, pędzą z góry jakby na złamanie karku, bo hamulca tutaj nie znają, przyczém znowu nie obejdzie się bez nielitościwego bicia Dlatego bardzo często przy drodze spotkać można nie jednego, ale po dwa i po trzy padłe konie odrazu. A co piękniejsza, to tych świadków cywilizacyi grzymałowskiéj i ludu okolicznego nawet nie zawsze uprzątają, bo 14 t. m. leżał jeszcze jeden szkielet przy drodze w samém prawie mieście. Cóż dopiero dzieje się na pomienionych spadzistych drogach, gdy nastanie gołoledź! Hycel morduje psy pałką tuż naprzeciw kościoła na najwięcéj uczęszczanéj drodze krzyżowéj, gdzie dzieci wychodzą ze szkoły. Gdy zaś z słusznem oburzeniem pośpieszono do przełożonego miasta, ten odpowiedział: «Ja nie znam o żadném towarzystwie.» Nie o towarzystwo się rozchodzi, i mniejsza, czy burmistrz grzymałowski «zna o niém» lub nie, ale o barbarzyństwo rozchodzi się i jego skutki i o nieprzestrzeganie istniejących ustaw i rozporządzeń, «o czém» rzeczony zwierzchnik grzymałowski «znaćby» powinien, mianowicie o rozporzą-

dzenia ministeryalne z 15 lutego 1855 i 20 sierpnia 1870, które acz krótkie, w głowie tego autonomicznego jegomości dotąd miejsca znaleść nie mogły, tak że nic «nie zna o nich.»

Lwów. Mimo rozporządzenia Rady szkolnéj krajowéj z 20 list. 1876 dotyczącego się bezpieczeństwa ptaków pożytecznych od rozpustnéj młodzieży szkolnéj, nie zachowującéj poza murami szkolnemi żadnych przepisów karności, włóczy się gromadnie tutejsza młodzież szkolna z procami nietylko drewnianemi, lecz nawet żelaznemi, umyślnie na ten cel sporządzonemi, koło miasta, np. koło wysokiego zamku, kalecząc i zabijając ptaszęta tamże znajdujące się, robiąc zarazem szkody po okolicznych ogrodach i szkalując ich właścicieli. Wobec obojętności zarządów szkół nie pozostaje nic innego jak oddawać tych rozpustników innéj władzy do stosownego ukarania.

Magistrat miasta Lwowa obwieszczeniem z 27 maja 1877 (do l. 9104) rozkazał wprawdzie, aby od 1 lipca 1877 zaniechano zupełnie bicia bydła obuchem i używano maski. Tymczasem prócz jedynego p. Kohmanna żaden inny rzeźnik nie stosuje się do tego rozporządzenia, z wiedzą czy bez wiedzy magistratu, nie wiadomo. Ale za to zabierają po przedmieściach gwałtem psy łańcuchowe do strzeżenia domów niezbędnie potrzebne.

Rozmaitości.

Bydlęta i zwierzęta. Niedawno temu przywieziono do Jas oddział jeńców tureckich, bądź lekko, bądź ciężko rannych. Prosili oni, aby ich ze względu na opłakany ich stan pomieszczono w miejscowym szpitalu Prośby téj nietylko nie wysłuchano, ale towarzysząca im straż rozgniewana wniesieniem téj prośby, biednych chorych tak poniewierała, że dwóch na miejscu wyzionęło ducha, resztę napół żywą, a raczéj napół martwą, powrzucano do wozów kolejowych. Oficerowie moskiewscy przypatrywali się obojętnie téj haniebnéj scenie.

Dwóch Anglików, którzy tego roku byli obecni przy połowie nerp około wysp Spitzbergen, opowiada w Times. co następuje. Prawdziwie rozczulającém jest poświęcanie się matek nerp za swe młode. Nieraz widzieć można, jak śmiertelnie ranna nerpa *(Phoca vitulina, Robbe)* chwyta za linę i z wytężeniem wszystkich sił łódź wlecze między kry, a pokazując się od czasu do czasu nad wodą dla oddechania, młode trzyma pod pachą, własném ciałem od śmiertelnego zasłaniając je pocisku, a do tego twarz młodego, w przerażeniu swojém tak pełna wyrazu i ufności w opiekę matki, matka zaś obojętna na wszystko, co ją spotkać może, a jedynie ocaleniem dziecka swego zajęta!

Tak! tak! dziwna to jest różnica między «bydlętami a zwierzętami,» między «istotami rozumnemi, stworzonemi na obraz i podobieństwo Boga,» i «istotami nierozumnemi, nie stworzonemi na obraz i podobieństwo Boga!»

Pies. Podczas rewolucyi francuskiéj pies nieznany nikomu przychodził codziennie na paradę wojskową odbywającą się przed pałacem Tuilleryi, stawał obok muzyki i wraz z gwardyą narodową przy odgłosie trąb i bębnów wykonywał wszystkie obroty. Po paradzie znikał i

nie widziano go aż nazajutrz na tém samém miejscu. To regularne zjawianie się psa i jego osobliwe upodobanie w muzyce zjednało mu przychylność żołnierzy, którzy go też po kolei brali z sobą na obiad. Ale po obiedzie opuszczał przyjaciół i nigdy nie zdołano zatrzymać go przez wieczór. Wojskowi zaczęli go śledzić i odkryli, że pies przepędza wieczór w jednym z teatrów, w którym właśnie było przedstawienie. Niespostrzeżony wsuwał się tam za orkiestrą i ukryty w kącie przysłuchiwał się muzyce. Późniéj stał on się towarzyszem jednego z pułków armii włoskiéj, przywiązawszy się do jenerała Desaix, i wraz z nim zginął w bitwie pod Marengo dnia 14 czerwca 1800.

Psy europejskie z czasów przedhistorycznych. Dotąd poznano trzy gatunki, naprzód tak zwanego psa torfowego *(Canis familiaris palustris* Rütim.) Był to mały pies, podobny do naszego szpica i wyżła, żył w okresie budowli nawodnych i narzędzi kamiennych, przetrwał okres brąsowy i pochodził, według poszukiwań prof. L. H. Jeittelesa, od małego szakala *(Canis aureus)*. Drugi gatunek tworzył wielki pies brąsowy *(Canis familiaris matris optimae* Jeitt.) w dwóch odmianach, podobnych do ogara i charta (według E. Neumanna). Był on powinowaty z dzisiejszym psem owczarskim i większemi chartami, żył w okresie brąsów, pochodził według poszukiwań prof. L. H. Jeittelesa, jak się zdaje, od wilka indyjskiego *(Canis pallipes Sykes)* i dostał się do Europy drogami handlowemi w najdawniejszych czasach okresu brąsów. Trzeci gatunek tworzył nowy pies domowy *(Canis familiaris intermedius* Woldr.) Co do wielkości stał on między oboma wymienionemi gatunkami, odznaczał się krótkim a szerokim pyskiem, szerokiém czołem i szeroką tylną szczęką górną, wysoką a nad otworami usznemi szeroką czaszką. Szczątki jego znaleziono w warstwach popiołu w Weikersdorfie w dólnéj Austryi i w Ploszy w Czechach razem z przedmiotami z późniejszych czasów okresu brąsowego, sięgającemi po części początku okresu używania żelaza. Zjawił się, jak się zdaje, najpóźniéj w Europie. Zdaniem prof. Dra J. N. Woldricha w Wiedniu pies ten pochodził, jak się zdaje, od afrykańskiego *Dib. Canis lupaster* Chr. et Hempr., i dostał się do Europy również jak poprzednik drogami handlowemi. *Ausland.* 1877. 760.

Do mojéj ptaszki, wypuszczając ją na wolność.

Ptaszeczko moja, któraś mię bawiła
i co dzień ziarnka z mojéj jadła ręki,
chcesz mnie już rzucić, swawolnica miła?
Wciąż rwiesz się w okno; wyzwolę cię z męki.

Pierwéj pisklątko, nie przykrzyłaś sobie;
teraz się nudzisz, boś słuszną osobą.
Próżno cię pieszczę, żadnéj już zabawki,
tylko wyglądasz na drzewa, na trawki.

Kiedym samotny w smutkach i chorobie
dnie moje nieme przepędzał przy tobie,

tyś mi na książce, na piórze siadała,
i w oczy patrząc, coś do mnie dumała.

Coś ty dumała? Czy tylko, by prędzéj
wyrwać się na świat z niewolniczéj nędzy?
czy też, by zgadnąć, latawko wesoła,
zgadnąć i przerwać nudy mego czoła?

Leć! leć! Już jutro nie książkowe karty
będą twym placem, ale świat otwarty;
zamiast papierów moich nudnéj bieli
zielona wiosna tobie się rozścieli.

Pójdziesz gdzieś z wiatrem raźnie, nieprzytomnie,
znikniesz mi, ptaszko! ani wspomnisz o mnie,
chyba o zmierzchu, pod lasku gdzieś dachem
jeszcze ci może przyśnię się ze strachem.

Bądź wolna! ciesz się! Bóg ci daj co rano
ziarneczko zdrowe i wodę źródlaną;
bujaj szczęśliwa, a strzeż się zdaleka
jastrzębich szponów i zdrady człowieka.

Ptaszeczko moja, któraś mię bawiła
i codzień ziarnka z ręki mojéj jadła,
żegnaj mi, moja wychowanko miła!
Otwieram okno — furknęła — przepadła.

Stefan Witwicki.

BIBLIOTHECA VNIV. IAGELL.

Uprasza się najuprzejmiej wszystkich szanownych czytelników Miesięcznika, aby o gdziebądź dostrzeżonych dręczeniach zwierząt i przestępstwach ustaw i rozporządzeń w Miesięczniku dotąd do wiadomości podawanych z dodaniem czasu, miejsca i innych okoliczności redakcyą Miesięcznika badź kartą korespondencyjną bądź listem zawiadamiać chcieli.

Szanowni członkowie tow., chcący brać udział w posiedzeniach wydziału tow., zechcą uwiadomić o tém pełniącego obowiązki sekretarza prof. Janotę, który każdemu z nich na karcie koresp. donosić będzie czas i miejsce każdego posiedzenia.

Odpowiedzialny redaktor: Prof. Dr. Janota. Z drukarni E. Winiarza.